

# STARA KOBIEĆA WYPLAKUJE

Tadeusz Jasiński str. 8-9

# LENISTWO TO ZAPRZECZENIE DEMOKRACJI

Ireneusz J. Kamiński str. 6-7

# Brześć teatralny

Mirosław Derecki str. 6-7

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# kamena

LUBLIN 30 X 1977 Nr 22 (638)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## PO IX PLENUM KC PZPR

# !... czepiajcie się!

Jerzy Dostatni

**N**IEMAL jednocześnie odbywały się dwa bardzo ważne dla nas posiedzenia: IX Plenum KC PZPR oraz Krajowy Zjazd Delegatów Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego. Na IX Plenum jednym z najważniejszych tematów było budownictwo mieszkaniowe, które w końcowym przemówieniu Edwarda Gierka znalazło się na pierwszym miejscu zadań, czekających naszą gospodarkę. Szczegółowe zadania na najbliższe lata zostaną ustalone na styczniowej II Krajowej Konferencji Partyjnej. Wiadomo już jednak z referatu Biura Politycznego jak i dyskusji na IX Plenum, a także na wcześniejszych, że w budownictwie mieszkaniowym chodzi nie tylko o ilość, ale w takim samym stopniu o jakość tego budownictwa.

O tych samych sprawach mówiono na krajowym zjeździe delegatów spółdzielczości mieszkaniowej, która już jest głównym, a w niedługim czasie będzie prawie jedynym inwestorem w tej gałęzi budownictwa.

Jakość budownictwa mieszkaniowego to nie tylko proste ściany, poziome podłogi i sufity. Jakość ta rodzi się już na desce projektanta, rośnie w fabrykach materiałów budowlanych, a dojrzewa na placu budowy. Trzeba powiedzieć jasno, że dotychczas — mimo wielu dyskusji i uchwał na różnych szczeblach — na tę jakość zwracano mało uwagi. Ważny był zawsze plan ilościowy i bywało, chyba zbyt często, że spółdzielczość przyjmowała

Dokończenie na str. 4

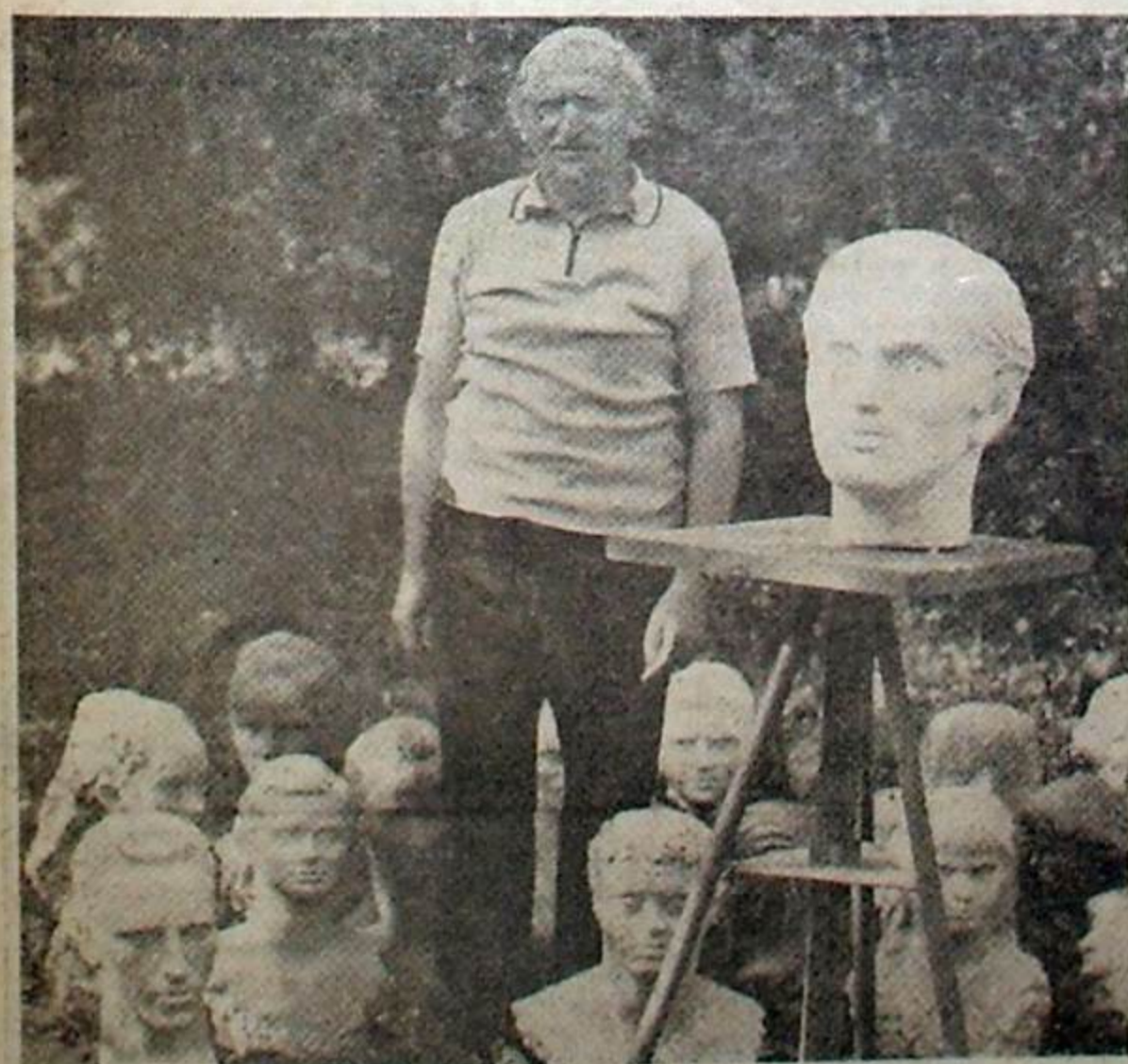
Aleksander Migo

\* \* \*

nie zdążyłem przechylić wiatru  
za horyzont wołający o zielen  
nie zdążyłem zawrócić rzeki  
do głębi pustynnych źródeł  
nie umiałem zatrzymać bładości  
na twarzach narzeczonych

lecz wierzę w osłupieniu  
w kolejność rzeczy  
tak jak w starość  
kiedy z ostatnim ptakiem  
odnajdę miejsce na żrenicy  
które pęka jak studnia

Inne wiersze Aleksandra Migo na str. 9



Artysta rzeźbiarz Stanisław Strzyżyński. Patrz „Okolice sztuki” str. 10

Fot. A. Polakowski

# Byłem wykidajką

Alojzy Wiór

**W** POŁOWIE lipca zauważyłem na szybie pewnej restauracji przyklejoną kartkę: przyjmujemy od zaraz portiera. Wiele zajęć w swoim życiu zaliczyłem: byłem nauczycielem, murarzem, sanitariuszem pogotowia ratunkowego, pracownikiem resortu kultury, ale wykidajką jeszcze nie. Zgłosiłem się do kierowniczk, zdziwiona powiedziała, że proszę bardzo, ale nie wie, czy to będzie zajęcie dla mnie, trzeba się bowiem użerać z pijakami, a co się nasłucham... Ponieważ nie rezygnowałem, wysłała mnie do kadr. Kierownik kadr orzekł, że jak dostanę skierowanie z wydziału zatrudnienia, to proszę bardzo. Mówiąc to miał nadzieję, że mi, oczywiście, tego skierowania nie dadzą. Zdumiony też był niepomiernie, gdy za niespełna pół godziny przybiegłem z koniecznym papierkiem.

Pierwszym dniem pracy była sobota, i tu zaskoczenie. Wbrew ułartym mi-

tom, że siła jest jedynym argumentem wobec niezbyt trzeźwych klientów naszej gastronomii, okazało się, że mój wygląd, a więc garnitur, broda, okulary, laska działały na nich w sposób trudny do przewidzenia. Większość na początku, od czasu oswojenia się z moim wyglądem, w ogóle do lokalu nie wchodziła. A i późniejsze wejścia kraszone były sympatycznymi żartami, np. „o, pan profesor tutaj, co, w szkółce nie szło?”, czy coś w tym rodzaju. Rozmowy między kelnerami, w momencie gdy podchodziłem do nich, natychmiast milkły, zaś szepty pomiędzy szatniarką a panią od we niewątpliwie dotyczyły i mojej osoby. Już pierwszego wieczoru pani „pisuaressa” usiłowała wypróbować moją odporność psychiczną, bo sta-

Dokończenie na str. 13





# I... czepiajcie się!

Dokończenie ze str. 1

od budowlanych, jako rzekomo gotowe, bloki, w których nieraz pracowano jeszcze miesiąc, niekiedy znacznie dłużej.

Oto Hrubieszowska Spółdzielnia Mieszkaniowa im. Stanisława Staszica. Przyjechałem tam niespodziewanie 30 września sądząc, że na zakończenie trzech kwartałów będzie oddawany do użytku jakiś blok. Nie omyliłem się — Zamojskie Przedsiębiorstwo Budowlane usiłowało przekazać spółdzielni jedyny zresztą w tegorocznym planie (nie licząc pokazanych poślizgów) blok obejmujący 40 mieszkań.

Prawdą powiedziawszy, termin umowy przewidywał oddanie tego budynku dopiero 31 października. Według zgodnych, chociaż nieoficjalnych wiadomości, Lubelskiemu Zjednoczeniu Budownictwa do wykonania planu za trzy kwartały potrzebny był właśnie ten budynek. Telefonicznie więc zawiadomiono Zamojskie PB, aby w ten czy inny sposób zdobyło od spółdzielni protokół odbioru — może to zresztą była sugestia samego ZPB, trudno to dziś ustalić. Dodatkowym aspektem tej sprawy jest fakt, że za przedterminowe oddanie obiektu do użytku budowlani otrzymują sześć procent dodatku, w tym przypadku 360 tys. złotych. Dostaje je przedsiębiorstwo w formie premii za dobrą robotę.

Po krótkim czasie jednak członkowie spółdzielni stanowiący część komisji odbioru telefonują do kierownika spółdzielni, że budynek nie nadaje się do odbioru z powodu licznych niedoróbek i usterek.

— No to nie odbieracie — odpowiada kierownik, a zarazem przewodniczący zarządu, Bogusław Adamczyk.

To dopiero wywołuje burzę. Przedstawiciele ZPB zjawiają się w biurze spółdzielni i usiłują przekonać kierownika, że do wykończenia bloku pozostały właściwie drobniaki, które „pod słowem honoru” zostaną usunięte do 10 października, a więc w ostatecznym terminie odbioru, pozwalającym zaliczyć ów blok do bieżącego planu. Kierownik jednak jest twardy. Może dlatego, że dzieje się to przy dziennikarzu, może dlatego, iż wie, że za podobne „odbioru” straciło posady kilku dyrektorów i ich zastępców w wojewódzkich spółdzielniach mieszkaniowych, a kilku innym potrącono premie, co nie ominęło także Lublina.

— Tak było już przy kilku poprzednich blokach wykonywanych przez was i Chelmskie PB, a potem miesiącami czekaliśmy na wykończenie. Najwyżej możemy zrobić dokładny protokół ze stanu faktycznego, a jeżeli wszystko zrobicie — jak przysięgacie — do 10 października, to go zniszczymy i napiszemy nowy, że wszystko jest w porządku — proponuje kierownik spółdzielni.

I na tym kończy się dyskusja, budowlani znikają, przynajmniej na razie. Idę więc z kierownikiem spółdzielni do owego bloku. Najkrótszy opis wygląda tak: brak połowy elewacji zewnętrznej, przy żadnej wannie lub umywalni ani śladu kranów, wiele grzejników leży pod ścianami, tynkarsze zalepiają wielkie dziury, pod wiele podłóg dopiero kładzie się mokre podłoże, na schodach spod błota i rozchlapanej zaprawy murarskiej nie widać, czy lastrico w ogóle zostało wykonane, wokół budynku niesamowity bałagan — połamane deski, popękane płyty, jakiejś mniej lub więcej zardzewiałe żelastwo. Dochodzimy z kierownikiem spółdzielni do zgodnego wniosku, że dobrze będzie, jeżeli wykonawca przy dużej koncentracji robót zdoła budynek przekazać w październiku.

Ja w ogóle nie mogę zrozumieć, jak ktoś mógł ten budynek zgłosić do odbioru — w dodatku w terminie, który zapewniał mu dodatkową premię za dobrą robotę!

Nie jest to przykład jednostkowy świadczący o tym, jak dokonuje się, zwłaszcza w tzw. głębokim terenie, odbioru mieszkań. Oto kilka innych z tego samego Hrubieszowa — przy czym trzeba dodać, że nie bez winy, i to poważnej, była sama spółdzielnia.

Oto budynek nr 1. Umowny termin przekazania do użytku 30 czerwca 1975 r. Oddano go z wieloma usterkami 30 grudnia, ale zasiedlić go można było dopiero na początku kwietnia 1976 roku, tyle bowiem czasu usuwano nazbyt liczne niedoróbki. Budynek nr 2: termin umowy 31 grudnia 1975 roku, przekazany spółdzielni 30 czerwca 1976 roku, zasiedlony dopiero w drugiej połowie września 1976 roku. Tu wykonawcą było jeszcze Chelmskie Przedsiębiorstwo Budowlane.

Za te dwa budynki (może inne, już nie pamiętam, ale to nie jest ważne) spółdzielnia wystąpiła do wykonawcy o zapłacenie kar umownych w wysokości 712 tys. złotych, komisja arbitrażowa przyznała 550 tys. złotych. Gdy spółdzielnia występowała ponownie o dalsze kary w wysokości 690 tys. złotych, odpowiedzialni pracownicy ChPB powiedzieli: bądźcie ludźmi, nie czepiajcie się! Arbitraż przyznał 390 tys. złotych. Nie mogę zrozumieć, jak budowlanym „opłacało się” zapłacić w sumie 940 tys. złotych, zamiast wykonać niedoróbki i usunąć usterki nawet w nieco wydłużonym terminie. Mają za dużo pieniędzy, czy co?!

Pawilon handlowo-usługowy przy ul. Polnej budowlani usiłowali przekazać bez tzw. przyłączy — wodnego, kanalizacyjnego i burzowego. To znaczy przyłącza materialnie były i są, ale by mogły być użytkowane, wykonawca powinien otrzymać odpowiedni protokół od Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. Bez takiego protokołu, wymaganego prawem, przyłącza pracują już dwa lata, a gdy spółdzielnia zawiadomiła ChPB, że konieczność za wykonanie robót w sumie 203 tys. złotych uległa prekluzji, wykonawca odwołał się do komisji arbitrażowej. Komisja jednak wniosek odrzuciła opierając się na istniejących przepisach.

Gdy przed rokiem ZPB przejmowało od ChPB bazę usługową spółdzielni, pozostawiało do wykonania w jednym pomieszczeniu około 20 m kwadr. kostki drewnianej. Nie położono jej do dzisiaj, nie zwrócono się do inwestora, aby ewentualnie zmienić rodzaj podłogi.

Przy pawilonie, o którym mowa wyżej, miał powstać — prawda, że w formie roboty dodatkowej — mały parking dla samochodów dostawczych, zaopatrzeniowych sklepy w tymże pawilonie. Z kierownikiem budowy uzgodniono, a także z inspektorem nadzoru, że teren zostanie obniżony o 30 cm po usunięciu zalegającego tam piasku. Miało to kosztować 150 tys. zł. Wykonawca jednak tego nie zrobił, zrobiła natomiast sama spółdzielnia. Wprowadzie tak powinna być sprawa postawiona od początku, by drobnymi robotami nie rozdrabniać sił wykonawcy, który przede wszystkim ma budować mieszkania — ale jeżeli już zobowiązanie się podjęło, trzeba je było wykonać, a nie mydlić oczy.

Albo sprawa innego rodzaju. W osiedlu przy ul. Polnej spośród trzech pawilonów jeden miał pomieścić biura spółdzielni (obecnie zajmują one mieszkania przy ul. Dzierżyńskiego 2 samo centrum Hrubieszowa), przechowywać na 40 dzieci i coś tam jeszcze. Ponieważ przekraczało to zakres tzw. usług podstawowych, możliwych do zapłacenia przez spółdzielnię mieszkaniową, spółdzielnia dogadala się z WSS, że ta będzie partycypowała w kosztach sumą 3,5 mln złotych. Z LZB uzgodniono, że pawilon będzie wykonany w technologii U-75. Ale niedawno WSS wycofała się ze swego zobowiązania, a LZB twierdzi, że technologia ta jest już nieaktualna. Może istotnie pawilon ten nie jest inwestycją najbardziej w Hrubieszowie po-

trzebną, może raczej 70 lokalnych kotłowni zastąpić jedną ogólnomiejską — ale czy nikomu nie zżoda wysiłku i pieniędzy, pozartych przez pawilon, którego nie ma i nie wiadomo kiedy i jaki będzie?

Kiedy porozmawiać w cztery oczy (bez magnetofonu) z jakimś przedstawicielem budowlanych czy spółdzielni mieszkaniowej, każdy rzuci większą część winy na drugiego, ale i sam też będzie się bił w piersi. Oficjalnie jednak wiele rzeczy tonie w papierkach, mniej lub więcej niezgodnych z rzeczywistością protokołach itp. Konsekwencje personalne nie są najlepszym sposobem ulepszenia sytuacji, są jednak sprawy ewidentne, za które w końcu ktoś śmiernie powinien odpowiadać. Ale o tym prawie się nie słyszy.

Zdarza się również — i o tym także warto powiedzieć głośno — iż władze lokalne, nieraz do wojewódzkich włącznie, przymykają oczy na nieprawidłowości. Bywa nawet, chociaż rzadko, że naciska się kierownika czy prezesa spółdzielni, aby przyjął budynek z poważnymi usterkami czy niedoróbkami — bo chodzi o wykazanie, że plan został wykonany. Nie każdy szef spółdzielni zdoła się tym naciskom oprzeć, bo przecież jego nominacja czy dalsze trwanie na stanowisku w dużej części zależy właśnie od tych władz lokalnych. Więc jak tu odmówić?

A w konsekwencji znów jest coraz więcej tzw. poślizgów, marnuje się pieniądze, materiały i sprzęt, jednocześnie wyrablając u nowych lokatorów przekonanie, iż mieszkania nie mogą być dobrze wykonane i to w odpowiednim terminie.

Przykłady z Hrubieszowa są niewątpliwie jaskrawe i zapewne niezbyt częste, w takim właśnie naświetleniu. Ale myślę, że po IX Plenum nawet na takie pojedyncze przykłady warto wskazać palcem. Aby się nie mnożyły, lecz zanikały i to szybko. Wszystkie te sprawy leżą nie tylko na płaszczyźnie ekonomicznej, ale i moralno-politycznej, gdzie rodzi się zaufanie społeczeństwa do decyzji i sposobów naszego gospodarowania.

Jerzy Dostatni



Stary... i nowy Hrubieszów



Henryk Kozak

## ŻYCIORYS

Urodziłem się dnia 15 lipca 1945 roku na polu w cieniu dzikiej gruszy matka uznała że nie potrzebny nam szpital

ojciec mój był wtedy daleko gdzieś nad Odrą a gdy wrócił umiałem już chodzić

miałem własną jabłoń która rodziła zaczarowane owoce swoje drzewo w lesie jasia i malgosię i w osłej lawce siedziałem

ale cóż gruszę traktor wyorał jabłoń uschła drzewo jest belką w stodole a osła lawka zamieniła się w biurkę kulejące jak życie

i to już wszystko co mogę powiedzieć o sobie

## TAMTEN WIECZÓR

Choćbym nie wiem jak bardzo pragnął nie powtórzy się już tamten wieczór z burzą za rzeką z kołyszącym się na wietrze aż po drżący horyzont młodym zbożem wiotkim i złotym jak ciało nagiej kobiety biegnącej o zmierzchu do nikąd brzegiem uspokajającego się morza

Tamtego wieczoru siedzieliśmy z Edkiem Ch. nad brzegiem stawu (dzisiaj pozostała po nim

zaledwie garść szuwarów) Mówiliśmy o tym co nas czeka o szczęściu podróży odkrywaniu i kobietach chociaż wtedy jeszcze żadnej nie znalazłem

Tamtego wieczoru wierzyliśmy że śmierć umarła nagle a wraz z nią wszystkie choroby wojny, nie znaliśmy słowa zdrada a Edek mówił zobaczysz będziemy żyć wiecznie

Dzisiaj moja prawa noga błąka się gdzieś po szpitalach w formalinie zakonserwowana służąc nauce a z okna wciąż ten sam widok

W ciemnym fabrycznym dymie wieże katedry wysokościenne telewizyjne anteny i chore drzewa

Fowoli odpadam kawalkami a przyjaciela już nie ma

Komena str. 4



## Brześć teatralny

Mirosław Derecki

**P**OD sufitem wielkiej, białobłękitnej, prostokątnej sali Teatru im. Leninowskiego Komsomolu Białorusi w Brześciu jarzą się dwa ogromne, kryształowe żyrandole. Po przestronnym, utrzymanym w różowym tonie foyer, przechadzają się kobiety w długich sukniach i mężczyźni w ciemnych garniturach. Po trzecim gongu ośmiusetosobowa widownia cichnie. Punktualnie o dziewiętnastej trzydzięci kurtyna idzie w górę.

Na scenie „Damy i huzary” Aleksandra Fredry w reżyserii Jerzego Rakowieckiego i scenografii Liliany Jankowskiej, w wykonaniu zespołu Teatru im. Osterwy w Lublinie.

Przed dwunastu laty zaczęła się współpraca dwóch sąsiadujących przez granicę teatrów. Brzeski teatr przyjechał do Lublina przywożąc m. in. A. Sumbatowa-Jużyna „Sokoły i wrony”. Teatr im. Osterwy zaprezentował w Brześciu „Dama kameliowa” Dumasa, „Zejście do piekiel” Iredyńskiego oraz amerykański „Autobus do Montany”. Do dzisiaj wiszą w górnym foyer brzeskiego teatru programy przedstawień, z wypisanymi na nich przez niezjącego już dyrektora Jerzego Torończyka podziękowaniami dla tutejszego zespołu.

Regularna współpraca zaczęła się w 1974 r. z inicjatywy dyr. Zbigniewa Szejmmana, kiedy Teatr im. Osterwy i Teatr im. Leninowskiego Komsomolu Białorusi obchodzą trzydziestą rocznicę istnienia. Do Lublina przyjeżdża w 1975 r. główny reżyser brzeskiego teatru Georgij Wolkow, inscenizując „Miesiące na wsi” Turgieniewa. W następnym roku Józef Jasielski reżyseruje w Brześciu „Nocną opowieść” Ka-

zimierza Choińskiego. Zespół lubelskiego teatru prezentuje „Dom otwarty” Bałuckiego i „Don Juana” Moliera; w Lublinie cieszą się wielkim powodzeniem „Mieszczanie” Gorkiego w wykonaniu brzeszczan.

I oto na początku października tego roku, teatr lubelski znowu na gościnnych „gastrolach”, serdecznie przyjmowany w Brześciu. Pełna frekwencja, rześiste brawa widowni, gorące powitanie przez miejscowe władze i zespół teatralny. Oprócz wspomnianych już „Dam i huzarów”, w których serca publiczności podbija Włodzimierz Wiszniewski w roli Majora, przywieźliśmy „Protokół pewnego zebrania” Gelmana w reżyserii Wojciecha Zejdlera i przygotowaną przez Studium Dramaturgii Współczesnej pod kierownictwem Romana Kruczkowskiego — „Opowieść z zoo” Albeego. A tymczasem w Lublinie brzeski reżyser Siergiej Jewdoszenko prowadzi próby sztuki Leonida Rachmanowa — „Niespokojna starość”. Premiera — w pierwszych dniach listopada.

Początki obydwu teatrów są prawie identyczne. Nowe życie lubelskiego teatru zaczęło się z chwilą pojawienia się na tutejszej scenie w 1944 r. Teatru I Armii Wojska Polskiego. Teatr brzeski został powołany do życia decyzją władz republiki białoruskiej 1 października 1944 r., kiedy zza Bugu, z polskiej ziemi, dochodziły wciąż jeszcze odgłosy kanonady artyleryjskiej.

Ale start brzeskiego teatru był o wiele trudniejszy. Przede wszystkim dlatego, że Brześć nie miał prawie żadnych tradycji teatralnych. Wprawdzie to w Brześciu napisał swoją pierwszą sztukę Gribojedow, stacjonujący jako oficer, w tutej-

szym garnizonie, ale owych „Młodych małżonków” wystawił Teatr Aleksandryjski w Petersburgu. W 1867 r. osiedlił się na pewien czas w Brześciu przybyły z Petersburga pisarz demokracja Fiodor Reszeńnikow. Napisał tutaj kilka opowiadań ukazujących życie miasta nad Bugiem. W jednym z nich, „Na zachodzie”, przedstawia przyjazd do Brześcia prowincjonalnej trupy teatralnej. Z braku właściwego budynku, sztuki grano w starym, zrujnowanym spichlerzu, widzowie siedzieli na ławach ze zwykłych desek, a podczas deszczu przez dziurawy dach lała się do „sali teatralnej” woda. W latach 1910—1914 w Brześciu, który stał się ważnym węzłem kolejowym i znacznie się rozbudował, istniały już dwa budynki teatralne i nawet jeden kinematograf, działało towarzystwo muzyczno-dramatyczne, ale stałego zawodowego zespołu teatralnego nie było właściwie aż do 1945 r. W późniejszych latach zabrakło nawet i sal teatralnych, chociaż istniała ulica Teatralna, a rzadkie występy przyjezdnych trup odbywały się w sali sportowej.

W 1940 r. zaczął tutaj działać teatr radziecki wystawiając m.in. „Mieszczan” Gorkiego i „Lubow Jarowaja” Treniewa, ale ta działalność została przerwana napaścią Niemiec na ZSRR.

Z historią Teatru im. Leninowskiego Komsomolu Białorusi jest związany od początku jego obecny główny reżyser i kierownik artystyczny, Georgij Wolkow. Trzydzięci dwa lata na brzeskich deskach scenicznych! Przybył tutaj 13 października 1945 r. z grupą młodziutkich aktorów, uczniów znanego aktora MCHAT-u, W. Gotowcewa, którzy dopiero co opuścili mury moskiewskiej miejskiej szkoły teatralnej. Byli komsomolcami, mieli wiele zapamiętanych zadań najtrudniejszych, a w repertuarze... kilka „szkolnych” pozycji, na których robili dyplom i które pokazywali już w moskiewskich klubach robotniczych i studenckich. Oprócz Władimira Gotowcewa przygotowywali ich do pracy na scenie artyści tej miary, co Siergiej Kalinin i Nikołaj Tituszin. Młodzi artyści czuli się wychowanymi słynnego MCHAT-u, spodkobiernymi koncepcji Stanisławskiego i Niemirowicza-Danczenki, i jeszcze do dzisiaj w teatrze podkreśla się z dumą jego MCHAT-owski rodowód.

Pierwszym dyrektorem i kierownikiem artystycznym został białoruski reżyser N. Mickiewicz. Sala teatralna leżała w gruzach, z trudem urządzono scenę i widownię na 150 osób w ocalałej pracowni teatralnej; w drugiej części tego niewielkiego budynku gnieździł się aktorzy. Z powodu zimna panującego w prowizorycznym teatrze młodzież

nazywała budynek „palacem zimowym”.

Teatr I Armii Wojska Polskiego dał w Lublinie przedstawienie lekkich, stosunkowo łatwych do zagrania w pionierskich warunkach, „Słoby panińskich” Fredry. W Brześciu formujący się teatr wystąpił z przywiezionymi z Moskwy trzema starymi wodewilami: „Pożyczone żony”, „Zaczarowana jajecznicza” i „Zapałki między ogniami”. Mieli też w repertuarze przygotowane w szkole dramatycznej „Igraszki trąfu i miłości” Marivaux i „Mieszczan” Gorkiego.

Ten pierwszy, pionierski okres teatru był bardzo ciężki. Okazał się sprawdzianem nie tylko zdolności aktorskich młodych artystów, ale także ich postawy obywatelskiej. Niektórzy opuszczali zespół uciekając z powrotem do Moskwy. Większość, a wśród nich Georgij Wolkow — pozostała.

Początkowy kryzys został przełamany, machina teatralna zaczęła nabierać rozpędu. Grano radzieckie sztuki rewolucyjne i rosyjską klasykę, żelazną pozycję w repertuarze stanowiły sztuki pisarzy białoruskich. Teatr dążył do wypracowania modelu bohatera współczesnego, zaangażowanego głęboko w problemy rewolucji, w sprawę patriotyzmu i umiłowania ojczyzny.

Już w pierwszych przedstawieniach zwraca na siebie uwagę wysoki, szczupły młodzieniec o pociągłej twarzy, w okragłych okularach. To Georgij Wolkow. W „Zwykłym człowieku” Leonowa, wystawionym w kwietniu 1947 r., stworzył interesującą postać Aleksieja Ladygina, w następnym roku wyróżnił się rolą Pawła Korczagina w „Jak hartowała się stal” N. Ostrowskiego. Publiczność oklaskuje go też w rolach kostiumowych: w sztukach Lope de Vega i w „Igraszki trąfu i miłości” Marivaux. W 1949 r. Wolkow sięga po laury reżyserskie: 29 grudnia odbywa się premiera sztuki W. Lubimowa — „Śnieżek” w jego inscenizacji i reżyserii.

Od tej pory nazwisko Wolkowa jako reżysera pojawia się coraz częściej. Do końca 1973 r. na 242 sztuki wystawione na tutejszej scenie, Georgij Wolkow wyreżyserował 61 (prawie dokładnie jedną czwartą), stając się na koniec głównym reżyserem i kierownikiem artystycznym. Jednym z jego sukcesów było wznowienie w 1972 r. sztuki K. Gubarewicz „Twierdza brzeska” w nowej inscenizacji. Ciesząca się ogromnym powodzeniem sztuka, która po raz pierwszy wystawił w Brześciu, w 1953 r. A. Mironowski, miała już od tamtych czasów ponad 800 spektakli.

Zespół brzeskiego teatru cechuje wielka dynamika pracy. Przeciętnie

**R**OLA inteligencji jest rolą porządkową. W nowej strukturze, która się zarysowuje, inteligencja będzie musiała stanąć na punktach największego obciążenia. Mięły te dawne czasy, kiedy inteligencja mierzyła się ilością słów rzucanych na minutę — obecnie mierzy się ją ilością dokonanej pracy dla społeczeństwa i państwa. Do tej pracy inteligencja polska musi się rzetelnie przygotować. Piękne hasło w gębie, a sobkosto i lenistwo w czynie, to zaprzeczenie demokracji — stwierdził prof. dr Mieczysław Michałowicz w wywiadzie dla „Czarno na Białym”, opublikowanym we wrześniu 1937 roku, trzy tygodnie przed powstaniem w Warszawie pierwszego Klubu Demokratycznego, którego prezesem został właśnie ów znakomity pediatra, uczonej i społecznik, piastujący wówczas mandat senatora.

Po czterdziestu latach od momentu wypowiedzenia tych słów, z całą pewnością można stwierdzić, że „nie było to hasło w gębie”, lecz spełniona dyrektywa praktycznego działania. W kilkudziesięcioletniej historii Stronnictwa Demokratycznego „praca dla społeczeństwa i państwa” była zawsze na pierwszym miejscu przedsięwziętej tej organizacji: zarówno jej szeregowych członków, jak i przywódców, którzy dali się poznać jako nieprzeciętni twórcy kultury i cywilizacji w Polsce, znakomici specjaliści w różnych dziedzinach życia

zbiorowego. Nie werbalne deklaracje, nie ozdobne frazesy czy demagogiczne „ballady”, lecz konkretne, racjonalne i metodyczne działania określiły znaczenie Stronnictwa Demokratycznego w dziejach naszego kraju. To nie jest i nie była organizacja inteligentkich rozterek, niepewności i zwątpień, a więc postaw, które podobno charakteryzują tę warstwę społeczną. To był i jest związek ludzi rzetelnej pracy dla dobra ogółu, a więc dla demokracji.

Mieczysław Jan Michałowicz urodził się w Petersburgu 11 września 1876 roku. Ojciec jego, podobnie jak wielu innych Polaków z ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, szukał nad Nową po upadku powstania styczniowego schronienia przed represjami carskimi. Już na drugim roku studiów w Cesarskiej Wojskowej Akademii Medycznej Michałowicz wstąpił do PPS, wiążąc się na wiele długich i trudnych lat z organizacją, która w 1905 roku skierowała młodego lekarza do Częstochowy w celu objęcia stanowiska przewodniczącego tamtejszego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS. Oficjalnie towarzyszył „Leonard” jechał do pracy w hucie „Handtkę” w charakterze lekarza. Kierując pracą OKR, spędził tam okres wrzenia rewolucyjnego. Aresztowany w 1908 roku i skazany na pięcioletnią zsyłkę, został ostatecznie zmuszony do opuszczenia imperium rosyjskiego na dwa lata. Później znów działał w organizacjach niepodległościowych i socjalistycznych, mieszkając okresowo w Petersburgu, we Lwowie, Krakowie i Olomuńcu, gdzie pełnił sanitarną służbę wojskową. Niedługo przed wybuchem I wojny

## LENISTWO TO ZAPRZECZENIE DEMOKRACJI

Ireneusz J. Kamiński

światowej odsunął się od działalności politycznej, nie zrywając przecież osobistych kontaktów z działaczami niepodległościowymi.

Po roku 1918 niemal bez reszty poświęcił się medycynie i organizacji służby zdrowia. Był profesorem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, kierującym katedrą pediatrii i kliniką dziecięcą. Przewodniczył Polskiemu Komitetowi Opieki nad Matką i Dzieckiem, który zakładał m. in. poradnie macierzyńskie, własne przychodnie lekarskie i organizował kolonie dla dzieci. Inicjował i prowadził także organizację społeczną, jak „Kropla Mleka” czy towarzystwo „Trzeźwość”. Aż do roku 1948 był prezesem Naczelnej Izby Lekarskiej. Stworzył tzw. warszawską szkołę pediatrii i doprowadził do tego,

że ta dziedzina medycyny polskiej awansowała na jedno z czołowych miejsc w Europie. W 1951 roku, kiedy M. Michałowicz obchodził 50-lecie pracy naukowej, obliczono, że profesor opublikował ponad 70 oryginalnych dysertacji, a jego uczniowie dali medycynie polskiej około 900 prac z dziedziny pediatrii. Okazało się także, iż profesor wykształcił jedną czwartą wszystkich pediatriów, działających wówczas w kraju, a połowę z 16 katedr uczelnianych zajmują jego uczniowie.

Do roku 1937 M. Michałowicz nie angażował się w walkę polityczną. Profesor w owych latach przedkładał ponad wszystko działalność społeczną dla kraju w służbie stanu lekarskiego — wyjaśnia zbliżony do M. Michałowicza Tadeusz Jabłoński — widząc w tej dzia-





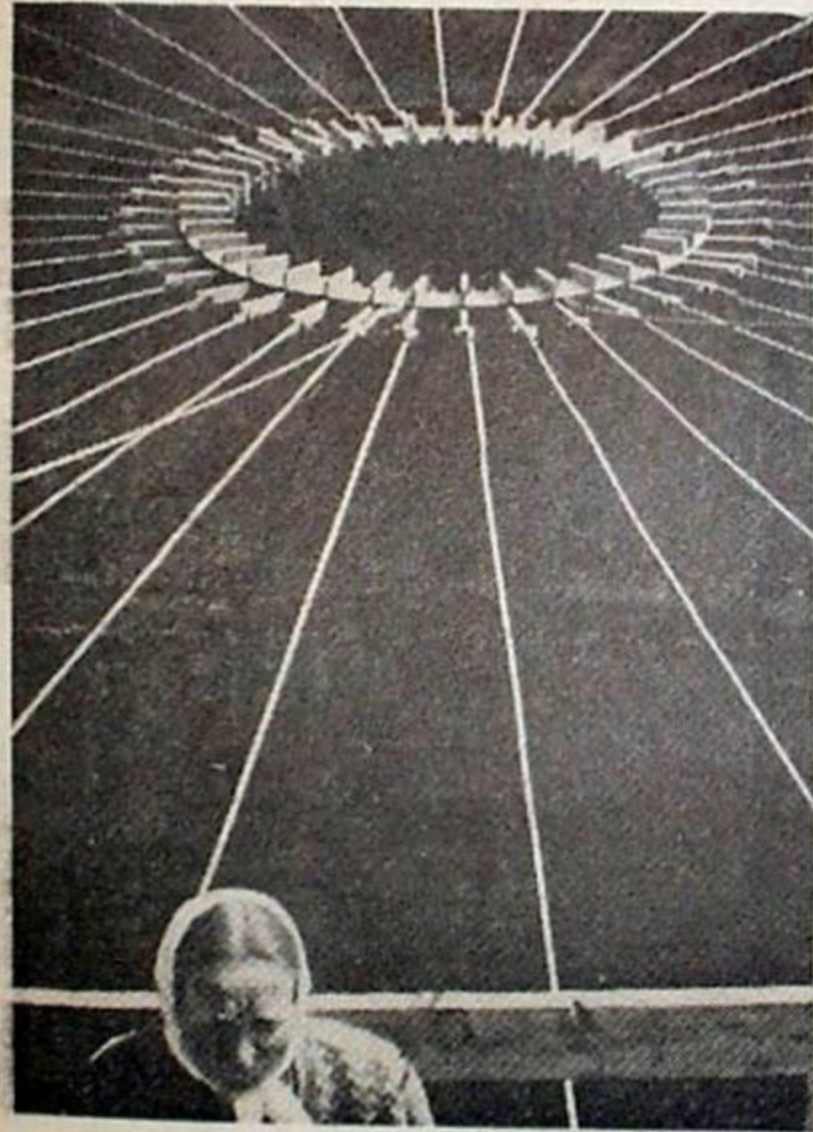


kiej ziemi i już na niemieckiej, w miejscach, gdzie niedawno były wielkie bitwy, jeszcze trupy zwyciężonych nie wszędzie pogrzebane, bo kto miał to zrobić, kiedy i swoich trzeba było oddać do mogilek z brzoźowym krzyżem. Żelazta wszędzie pełno po wszystkich armiach leżało na polach. I my tak przez te pobojowiska, i przez te wielkie mrowie ludzkie, co się wszędzie przewalało, uchodziłam z ciałem mojego syna.

Mieliśmy przy sobie ten tu rozkaz marszałka Stalina z 23 kwietnia 1945 roku, w którym głównodowodzący na ręce dowódcy I Ukraińskiego Frontu, marszałka Koniewa, składa podziękowanie: „za przerwanie silnie umocnionej linii obrony Niemców nad rzeką Niszą i posunięcie się naprzód na terytorium Niemiec na 60 km i zdobycie całego szeregu miejscowości, wszystkim żołnierzom 2-giej Armii Polskiej pod dowództwem gen. dyw. Świerczewskiego, w tej liczbie i Wam, uczestnikowi walk o przerwanie frontu nad Niszą...” No i było tam nazwisko mojego syna, kpr. Sidora Stanisława. Za te bitwy on dostał awans, on poległ już jako plutonowy.

I jeszcze wieźliśmy frontową gazetę, w której kapral Rzęczycki opisuje „Ostatni dzień boju” jednostki Kassjanowa. Widzi pan, sporo o moim bohaterze, nie żalowali miejsca. Niech pan przeczyta ten kawałek: „Naraz huk. Poza mną. Padam na ziemię. Padając, zdążyłem jedynie zauważyć, że jeden z kolegów, Staszek Sidor, wyleciał w powietrze... Wraz z amunicyjnym dobiegamy do szosy i patrze... Nie wierzę... Mój serdeczny przyjaciel! Tylko piersi i głowa! Reszty ciała nie ma! Łzy spłynęły mi po policzku. Mój Boże! Nie doczekałam... A był to ostatni dzień naszych walk. Wykopaliliśmy mogiłę. Tak się rozstałem z moim kolegą. Spojrzałem jeszcze raz na tabliczkę i szeptem odczytałem: S.P. plut. Sidor Stanisław. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari”.

No i poszli do tego wojska, a tu trzeba było żyć. To tu zarobiłam, to tam, a w późniejszym już czasie dostałam się do Instytutu Higieny Weterynaryjnej Wsi. Przychodziłam do pracy, ale nic nie umiałam, tylko sprzątać i więcej nic. Ale lekarze, no i mój szef Stanisław Bąboliński, Irena Koślakowa — oni jeszcze żyją — a i doktorzy po krótkim czasie mówili: patrzajcie, jaką my mamy teraz kobietę do pracy, pracowita, nie weźmie nic, kropli spirytusu nie wypije — bo ja do dzisiejszego dnia kropli nie wypilam — powiedzieli, że ja ogień do pracy i że czysta jestem. Chcieli, żebym była laborantką, to lżej mi będzie i zarobek lepszy. Szkoda kobiety, kto ją przyuczy do pracy, spytali na zebraniu. A potem dali wszystko pod moją rękę. I tak pilnowałam wszystkiego, i robiłam, co było mi nakazane, no i dosłużyłam się emerytury. Ile to już lat?



Fot. A. Polakowski

Ja już stara, proszę pana, stara bardzo. Dzieci chcą, żebym nie mieszkała tu sama. Ja bym mieszkała z dziećmi, ale ja na Czwartku chrzczona, i dzieci tu wychowałam, na Czwartku za małą wychodziłam — tu już jest taki mój ukochany kościół i mi się wydaje, że jeżeli pójdę gdzie indziej, to nie tak, jak tam. No i na cmentarz blisko do meza, do syna. I mnie będzie niedaleko. Grób mają obaj jeden, murowany i ja już tam mam z nimi zamówione. Ja już z nimi będę, my już będziemy wszyscy razem.

Któregoś dnia spotkałam w papierach jego listy do meza na front i do mnie: „(...) Bardzo się smudzię, że nie ma żadnego z nas w domu, bo gdybyśmy byli, to nie zapłakałabym, że jestem sama, ale tym razem będziesz musiała wybaczyć, że będziesz sama i będzie Ci troszkę smutniej, jak zawsze, ale wojna nie wybiera — czy to ja, czy też dziesiąty. Służba nie drużba. Mamusiu, nie myśl sobie za wiele, że może Cię ośmieszka, jestem zdrowy i w ogóle dobrze mi się powodzi. Nie gniewaj się, że tak mało piszę, ale teraz nie mam tyle czasu”.

Niech pan spojrzy na to zdjęcie, jaki piękny, jaki ładny to był chłopak, jak nie wiem co. Proszę pana, gdyby on dzisiaj żył, jakby jemu było dobrze. On miałby dopiero pięćdziesiąt cztery lata!

Wszędzie nam ludzie pomagali i radzieckie jednostki, i polskie. Obrok dla koni się znajdował, prowiant dla nas i nocleg, jeżeli była potrzeba. Dwa razy nam konie wymieniano, bo pierwsza para się ochwaciła, a następna kulala i za słaba była na taką wielką drogę. I płakali ludzie ze mną, i dzielili się chlebem z nami, dogodzić nam chcieli.

Sasiadów miałem dobrych, a dzieci jakie ja mam! Anioły mam, nie dzieci. Niektóre kobiety się skrzyżowały, panie, ja bym przed Najwyższym się bała, żeby coś złego powiedzieć. Przebyłam ten czas, teraz już mam swoje na starość, nie potrzebuję od żadnego dziecka grosza, 2650 mam emerytury za swoją pracę i za syna, i Stasi wszystko pod opiekę daje, ona mi kupuje, ona o wszystko dba, bo ma najmniejszą szansę. Nie mogę powiedzieć, bo się mnie żadne nie brzydzi, moje dziecko się mnie nigdzie nie wstydzi, Stasia mnie wykąpie, wymyje, uczesze, jeść mi daje, ja nie wiem, co to znaczy pranie. Już tyle lat, Stasia upierze, umagluje, uprasuje. Janka zawiezie mnie do siebie, Jasiek zabierze i odwiezie taksówką, albo trolejbusem do domu. Mamusiu, weź sobie to, weź tamto... Nie wstydzi się żadne, żebym nie wiem gdzie z nimi poszła, żebym nie wiem gdzie się znalazła. Wszędzie jestem na pierwszym planie, dziecieniu wnuków i dziesięciu prawnuków już się doczekałam. Aby tylko co, to babuniu, babuniu...

A jak w Krakowie myśmy stanęli w tej żalobnej drodze, to nas dużo ludzi obstało i kwiaty na trumnie kładli. Litowali się, czy jest u nas taka druga matka, która z pola bitwy tak daleko swojego syna do domu przywiozła — pytali między sobą — czy innej to się udało, może ona jedna?

Może i jedna, ale nie życząc żadnej innej matce takiej smutnej drogi, ani tego smutku, co we mnie, w samym środku wciąż jest. Ból jest we mnie jeszcze dzisiaj. Może, panie kochany, jak ja się spać położę po dzisiejszej rozmowie, ja spać nie będę mogła, to tak wszystko znowu przede mną stanęło. I jeszcze mnie boli, kiedy ludzie mają krótką pamięć, albo nie chcą ze złego pamiętać. Dzisiaj, to ludzie powinni na kolanach klękać i prosić się Pana Boga za te czasy, cośmy doczekali.

Wszędzie po drodze ludzie nas zatrzymywali i prosili do stołu, na nocleg u siebie zmuszali i tak było przez wszystkie tygodnie, kiedy my tak przez naszą polską ziemię jechaliśmy. Sami nam konie karmili i poili, nami się opiekowali, jak bracia, jako siostry mi współczuwali i wciąż pytali, skąd jedziemy i dokąd, litowali się naszej dalekiej podróży. Mosty były pozrywane na rzekach, czasem trzeba było nadrabiać wiele kilometrów, żeby znaleźć przejście, na polne koleiny musieliśmy nieraz zjeżdżać. Droga była żmudna, prawie trzy tygodnie trwała. Co ja się umęczyłam, co ja się utrudziłam, ale mnie trzymała ta moja wola, żeby go mieć koło siebie, a nie w dalekiej ziemi. Ani ja wiedziałam, ani nikt nie wiedział, że ten Staszek Weisł, co go już polubiłam jak swojego, niedługo od miny zginie, gdy mu przyjdzie oczyszczać pola pod jesienne zasiewy. Ale wtedy jeszcze poganiał konie i przyspieszał, bo koledze chciał się przysłużyć śpiącemu w tej trumnie, i do rodziny mu było pilno.

Ci wszyscy w orkiestrze, ci jego koledzy, gdy mnie spotykają dzisiaj, to nie wiedzą, jak się mają do mego witać. Gierczak, Koślak. Pani Sidorowa kochana, niech pani przyjdzie do nas. Pan wie, że jego dowódcy mnie poprosili do jednostki? I ja zachodziłam tam nieraz. To ja myślałam, że koledzy Staśka, ci co przeżyli, pogłupieją z tej radości. Jeden do mnie wyszedł i za szyję mnie wziął i całował w obie ręce. Wiele razy, to mnie zaprasza ten najstarszy, co nad nimi jest, bo o synu mają napisane w historii jednostki.

No i po tylu dniach, po tylu dniach i nocach wjechaliśmy do Lublina. To i masz przed sobą, synku, Trynitarzką Bramę, rozszalałam się w sobie na nowo, masz ją przed sobą, i Krakowską Bramę masz, i te ulice, przy których się wychowywałeś masz: Krakowskie Przedmieście widać, przez Zamojską jechaliśmy, w Lubartowską wjeżdżamy i zaraz będziemy w naszym domu. Masz, synku, Trynitarzką Bramę, masz ją przed sobą. Już wnet koniec twojej wędrowki, już wnet koniec. Jeszcze po drodze wstąpisz do naszej izby, pobędziesz jeszcze trochę z nami, z rodziną całą i sasiadami, a stamtąd prawie już cmentarz widać. Wnet już koniec twojej wędrowki.

Jak my go przywieźli, to zaraz wojsko przyszło, dużo wojska przyszło. Ludzie płakali nad synem i nade mną. Tu mdleli żołnierze, ci, którzy z nim na wojnie byli, oni mdleli z żalności nad trumną. Przez tydzień mówili ludziom, że on zginął od ostatniego wystrzału wojny, chwalili, jak walczył, jaki był odważny i zasłużony, i o tym mówili, i w wolnych chwilach grać im lubiał, że śmiać się potrafił do ostatniej chwili, że był dobrym kolegą. Z mojego domu na Unicką drogą krótka, ale tłumy takie były na pogrzebie, że to trwało długo, zanim doszedł ten kondukt nad wykopaną mogiłę. A już nad grobem, to przemawiali, że on za nową Polskę, że on tyle zdrowia zmarnował, że użył chłodu i głodu, a w końcu życie stracił i to wtedy, kiedy już nikt się nie spodziewał. Dużo wojska było. Kompania honorowa i orkiestra mu grały. A kwiatów ile, a wieńców! Ale ja byłam obecna i nieobecna, tylko we łzach, które przez te tygodnie wciąż się ze mnie wydobywały i z tej nieprzytomności, co mnie obejmowała.

Ten ból ze mnie nie ustępuje. Dla mnie Zaduszki przez cały rok, przez te wszystkie lata, co minęły i przez ten czas, co jeszcze przede mną. Taki ładny był chłopak, dziecko to moje było, to było moje dziecko.

## ALEKSANDER MIGO

### MIŁOŚĆ

*cyprusy stoją mocno zakute w ironię do granicy oddechu jeszcze wciąż daleko podobieństwo i laska w ziarnie świtu drzemią i tylko oczy czujne i ciepłe dłonie*

*między drzewa wbiec pierwsi nim się powie słowo niech palce się mrożą nad zachwytem niemyym a oczy aż po białka niech zaróżowieją kłonom różowy posmak wiatru odwęgą przywola*

*a mówić trzeba miłość w cztery strony lasu wtedy wszystko się zbliży do granicy szeptu błękitne konie wstążki powódź polnej drogi*

*a mówić trzeba jesteś o krok wstrzemięśliwy na jesionowym wózku o cieni od paproci lecz chmury rwą wędziadła wiatrem oczy przedą*

### PEJZAŻ Z TOPOREM

*oto masz drzewce które skórę pieści oto masz ostrze cienkie jak świsł wiatru w oddali drzewo które liście gubi*

*odpraw na oślep klękanie poranne do roztkliwienia białej gładzi stali rozpędź sumienie które w żyłach dudni*

*panujesz twórczo nad tym strzępem marnym który pod stopy rzemień ci zaciągnął ma skórę cienką niby o świtaniu*

*ręce do góry potem w dół rzetelnie i tylko drzewo stawi lekki opór*

### ZWIERZYNIĘC

*oswojone zwierzęta półkuli pokoju co śladem ucieżności przemkną za widnokres puchu i niedoleństwa wystudzonej tyżki są tuż obok o oddech o cień progę śliski w swym milczeniu kudlatym wierne i dorodne*

*grzbiet przywarty do brzucha pierzyszych taktów czaka*

*oczy się snują cieżmi za ruchem batuty za jakże nienawistnym i kochanym gestem ciepłym jak zapach cukru i jak świsł szpicruty gdy się łapy z leniwym poruszają szelestem który ślepią jaskrawiej zwierza pod powieką*

*pod mym prywatnym drzewem dobrego i złego drążą długie tunele w szpalerach kamieni aż dotrą do korzeni do rdzenia samego i obniży się niebo do zatoki ziemi*

*i w pletwie oceanu żagle białą solą gdy do ostatniej ryby woda się wystudzi nim wypali się piasek do ostatniej łodzi wiatr się zderzy z żrenicą a kolana z brodą*

*pół martwe czy pół senne pod sztucznym księżycem za miskę pełną piesszczot własny język zgryzają kopnięte celnie w żebra sinieją w skowycie dojrzejawą popiołem gdy na wyraz idą*

*oswojone zwierzęta półkuli pokoju jednorożce łagodne szczyry purpurowe są tuż obok o oddech o cienia połowę by mi skoczyć do gardła zwartą metaforą*

### NOCNE CZUWANIE

*tak przyjacielu mamy inwokacje nocy i ropuch do stapania rosy kół osinowy mocniej ściśni w dloni święconą kredą próg domostwa posyp*

*a nuż się zdarzy że zapieje zorza i doczekamy naszego czekania wbrew rozsądkowi uwięzimy stopy w miękkim przytulku nocnego czuwania*

*a nuż nam przyjdzie wielbić biały kamień w pośpiechu powiek i kwitnieniu włosów gdy krew się spieni jak przed burzą karbid kobyła serca sznur rozumny zerwie*

*w kieliszku tylko sına ryba nocy pamphlet na wiarę w złotej wisi ramie cud czterech kątów na powiekach ciężu potem się cichcem na żrenicy legnie*

*i na obrusie jak na wielkiej scenie rosną lodowce śmierci i kochania w sad brzoskwiniowy spadł dojrzały księżyc obudził myszy ciepły zapach siana*

*o cień oddechu na granicy trzciny byliśmy dzisiaj z wiara piedestelu pod mostem wzroku i kropelki śliny nasienie słońca w palcach dojrzałego*

# ŚWIETNA LEKTURA

Maria Bechcyc-Rudnicka

**T**AK się ustawicznie składa, że uganianie się po mrocznych festiwalach teatralnych, łącznie z relacjonowaniem ich przebiegu, rzadko pozwala mi wypowiadać się w druku o książkach, których lektura sprawiła mi przyjemność. Zresztą pisuję wyłącznie o książkach związanych z teatrem, systematyczna bowiem analiza wszystkich moich lektur stanowczo wymagałaby bardziej siedzącego trybu życia.

Toteż pisząc dopiero teraz o książce Witolda Fillera „Tadeusz Łomnicki”, którą dawno przeczytałam jednym tchem, mówię do siebie na pociechę przerobiwszy porzekadło znane w innym brzmieniu: „Spectacula volant, libelli manent”. Bo i rzeczywiście: choć prawdą jest, że są dziś na usługach utrwalenia wybitniejszej inscenizacji różne środki techniczne, to jednak po „wyeksplorowaniu” jej na scenie przechodzi ona siłą rzeczy do archiwum, stając się głównie domeną zainteresowań historyków teatru. Napisana zaś z talentem książka o aktorze cieszącym się szeroką popularnością ma bardzo długi żywot, bynajmniej nie archiwalny. A dzieło literackie Fillera (z całym przekonaniem użyłam tego przymiotnika) jest z pewnością nader żywotnym portretem Łomnickiego.

Niech mi będzie wolno posłużyć się na tym miejscu już drugim z kolei obcym aforyzmem — tym razem dosłownie: *Le style c'est l'homme*. Chodzi o to, że omawiana książka charakteryzuje celnie nie tylko jej bohatera, Tadeusza Łomnickiego, ale i daje wymowne świadectwo przenikliwości i błyskotliwości intelektu autora. Nie dość tego: zasad-

nicza cecha wyróżniająca ową pozycję spośród innych danej serii Wydawnictw Artystycznych i Filmowych — niezwykle precyzyjny opis techniki aktorskiej — pozwala się domyśleć od razu, że autor literat, krytyk, publicysta, musi być kimś znającym życie teatralne od wewnątrz.

Otóż domysł okazuje się trafny. Witold Filler ukończył Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie i w latach 1952—1962 był aktorem. Stąd to lubowanie się we wskazywaniu czytelnikowi w najdrobniejszych szczegółach na środki warsztatowe, jakimi operuje Łomnicki dla osiągnięcia zamyszonego przez siebie, w tej czy innej roli, celu.

Proszę zważyć: omawiając rolę pewnego aktora w pewnym przedstawieniu mówimy zazwyczaj o tym, co nam aktor pokazał oraz o relacji postaci, którą stworzył, do postaci stworzonej przez autora sztuki. Witold Filler natomiast daje czytelnikowi coś całkiem odmiennego. Podkreślając nieustannie samodzielność pomysłów Łomnickiego, a nawet rzecz można — jego niezawisłość, w granicach racjonalnych, wychodzącą zawsze na dobre sztuce, Filler przytacza raz po raz przykład jakiegoś pozornie drobnego technicznego poślgnięcia, wywołującego u widza zaprogramowane przez Łomnickiego pojęcie o postaci.

Tak więc, gdy znakomity aktor grał w „Trzech siostrach” Solonego i dochodziło do konfliktu z Tuzenbachem, element miłości nieodwzajemnionej (do Iriny), łączący się z wewnętrznym dramatem nieprzystosowania był w roli Solonego elemen-

tem głównym. Zatem, by nie ujmować Solonego w uproszczeniu „jako człowieka złego”, co robił Łomnicki? Kiedy w jednej z pierwszych scen Tuzenbach chce podać Irinie krzesło, Solony-Łomnicki ubiegł go, łapał krzesło i przycisnął milcząco do siebie. Tylko tyle? — Jakże wiele dla zrozumienia psychiki postaci! Analogicznie egzemplifikuje Filler w zakresie intonacji. Przy okazji m. in. roli Orestesa w „Ifigenii w Taurydzie” pisze o Łomnickim, że doprowadził do perfekcji kunszt operowania słowem, bogactw skali jego wybrzeżeń, a także uświadamiając sobie do końca praktyczną współzależność pomiędzy strukturą wiersza a jego emocjonalną gęstością. To przecież po Goethem zachwycano się jego mistrzostwem w przekładaniu cesur (słynne „I — matka ginie z ręki syna!”).

Zresztą Filler mówi wyraźnie: Dla aktorstwa Łomnickiego jest charakterystyczne dążenie do ostrej obrazowości detali.

Jak wynika z powiedzianego już wyżej o książce Fillera, występuje w niej często przy przytaczaniu różnych ról — para pro toto i, a zawsze właśnie to służy zaokolicie pełnej definicji kunsztu aktorskiego Tadeusza Łomnickiego. Filler nie zajmuje się opisem osiągnięć aktora w kolejnych licznych rolach — jeden jakiś szczegół, częstokroć, powtarzam, pozornie drobny, w przytoczonej przykładowo roli, prowadzi do wywodów o rodzaju mistrzostwa warsztatowego Łomnickiego.

Słowem, fachowa znajomość techniki aktorskiej pozwoliła Fillerowi dojść metodą precyzyjnej analizy środków warsztatowych do przekonywującej syntezy w wysokiej ocenie aktorstwa Tadeusza Łomnickiego.

Interesująco pokazał Filler początki drogi artystycznej bohatera swej książki: jego kolejne kontakty z wybitnymi reżyserami, nabyte od poszczególnych znakomitych ludzi teatru doświadczenie, w harmonii czy w kontrowersjach — zawsze korzystne dla sztuki teatralnej.

Wielki nacisk kładzie autor monografii na ideowe przesłanie ról Łomnickiego. Występuje to szczególnie wyraźnie przy kształtowaniu postaci Artura Ul. Zresztą sam Łomnicki potem powiedział (cytuje za Fillerem): *Jeżeli współczesna technika totalnej zagłady pozwala w ciągu jednej sekundy zabić setki tysięcy ludzi, to współczesny humanizm manifestujący się poprzez sztukę, może zastanowić się i zbadać, z jakich indywidualności, z jakich „egzemplarzy” ludzkich, z kogo składają się owe setki tysięcy? Wydaje mi się, że w epoce mas, potrzeba ukazania jednostki jest niezwykle pilna. Mało, że pilna, ale powszechnie odczuwana.*

„A więc próba dotarcia do człowieka”. Witold Filler dostrzegł na liście ról Łomnickiego zaskakującą nieobecność ludzi normalnych, typowych, zdrowych psychicznie. Niejeden widz zauważył ze swej strony u znakomitego aktora niezwykłą łatwość i doskonałość transformacji zarówno psychicznej, jak fizycznej i... Ale wada mi od uwag własnych o kunszcie Łomnickiego. O Łomnickim napisał Filler, ja piszę o książce Fillera. Świetnej książce.



## OKO - Tęcza - Sztuka - Ki

### Rzeźbiarz

**P**OSTAWCIE na pusty, płaskiej łące jakąkolwiek rzeźbę, byle nie nękającą w trawie, a zobaczycie, jak łąka ta zmienia swój charakter, przestrzeń, swoje znaczenie. Jest to właśnie zasługa owego kawałka metalu czy kamienia, który oplątuje otoczenie siecią niewidzialnych, acz wyczuwalnych linii, stając się ośrodkiem dyspozycyjnym tego zielonego uniwersum. Nawet wówczas, kiedy między rzeźbą a „resztą świata” zachodzi konflikt, wynikający z odmienności kształtów, proporcji czy barwy — celowo uformowany przedmiot nie traci swej ważnej, bo inicjującej sytuacji funkcji. Tak czy inaczej rzeźba jest swoistym środkiem panowania nad przestrzenią i skutecznym środkiem jej oznaczania.

Ce właściwości stanowią o ciągłej aktualności sztuki rzeźbiarskiej. Zauważmy: argumenty przemawiające za kryzysem sztuki czerpane są z reguły z dziedziny malarstwa. Rzeźbę pomija się milczeniem, w skrywanym przekonaniu, że tak czy siak nie dostarczy ona porządnych przesłanek, mało tego — w obawie, że odwołanie się do niej może

ośmieszyć katastroficzne spekulacje. Rzeźba, jako swoisty gatunek plastyki, jest właściwie niezniszczalna, bo stanowi organiczny element życia społecznego, przestrzeni społecznej, materializując symbolicznie przekonania, idee, wartości i niepokoję zbiorowości ludzkiej, unaoczniając jej upodobania estetyczne. A czyni to wszystko — co ważne — w sposób wyjątkowo dobitny, narzucający się widzowi, i trwały.

To małe repetytorium z ontologii rzeźby spowodowała wystawa prac Stanisława Strzyżyńskiego, czynna w październiku w lubelskim BWA i urządzona z okazji 25-lecia twórczości tego artysty, związanego z Nałęczowem od 1953 roku, gdzie osiedliwszy się w dość przypadkowych okolicznościach, utknął na dobre. Na dobre, bo jak zapewne niejeden z czytelników pamięta, właśnie od pojawienia się Strzyżyńskiego na Lubelszczyźnie rzeźba nasza zaczęła powoli zbliżać się do pełnoletności. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych nalezcowski twórca — przez wiele lat wykładający w tamtejszej szkole plastycznej — wystąpił z cyklami kamiennych głów, które swoją syntetyczną formułą, nawiązującą nieco do rzeźby „prymitywnej”, zdecydowanie odbiegały od kanonu opisowego traktowania bryły, popularnego naówczas w Lublinie i okolicy. Zresztą, dodajmy dla sprawiedliwości, rzeźbę uprawiali wtedy nie-

Niewiele refleksów tamtego okresu znajdujemy na obecnej wystawie, choć zgromadzono na niej ponad 60 prac. Przypominają go trzy — cztery portretowe głowy, zrealizowane chyba w ostatnich latach. Starzejąc się, chętnie powracamy w przeszłość i zapewne dlatego patrzyłem na nie ze szczególnym sentymentem, choć nie wykluczone, że powody mojej uwagi były bardziej zasadnicze, wiążące się z konsekwentnym, rzeźbiarskim wpisaniem tych głów w formę owalu, wyzwajającym klimat intymnego obcowania z łagodnością, jej materialnym ekwiwalentem. Do najlepszych prac wystawy zaliczyć też należy dwa gipsowe, patypowane portrety Anity B., młodej i pięknej kobiety, która

zginęła w wypadku samochodowym. Tym dziełem Strzyżyński potwierdził, że potrafi być portrecistą wysokiej klasy; jest to uwaga konieczna wobec faktu obecności na wystawie wizerunków uformowanych dość manierycznie.

Rzeźba stanowi organiczny element życia społecznego, przede wszystkim rzeźba pomnikowa. I właśnie na tym terenie Strzyżyński najpełniej ujawnia swoje nietuzinkowe możliwości twórcze. Warto to zapamiętać, albowiem pomniki robią u nas wszyscy (prawie wszyscy plastycy), lecz dobrych pomników mamy mało. Wychowanek prof. B. Wójtowicza w PWSSP w Poznaniu (1945—1950), a dyplomant warszawskiej ASP (1955), nie tylko potrafi znaleźć rzeźbiarski odpowiednik upamiętnianego wydarzenia, sugestywny i niebanalny, ale i sensownie wiąże go z naturalną scenariem — w ten sposób, że bierze ona udział w konkretyzacji przesłania ideowego monumentu, stając się elementem złożonej metafory. Najlepszym tego przykładem jest pomnik w Rąblowie, upamiętniający wielką bitwę stoczoną przez partyzantów w maju 1944 roku z Niemcami. Bryłę w formie leżącego prostokąta, pokrytą płaskorzeźbionymi postaciami, wkomponował Strzyżyński w zбочe niewielkiego pagórka, za którym rozciągają się lasy — miejsce bitwy. Pomnik ten jest więc symboliczną bramą, prowadzącą w przestrzeń fizyczną i w przestrzeń historii.

Zawsze zainteresowania rzeźbą pomnikową datują się u Strzyżyńskiego od początku lat sześćdziesiątych. Największy, choć niejako potencjalny sukces w tej dziedzinie osiągnął autor w 1967 roku, kiedy to wraz z J. Kleczkiem otrzymał drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) w ogólnopolskim konkursie na pomnik ku czci pomordowanych więźniów Majdanka. Przedstawiony w BWA gipsowy model monumentu przypomina, że miała to być ściana złożona z 26 ciemnoszarych granitowych bloków ośmiometrowej wysokości, symbolizujących liczbę narodowości, symbolizujących w tym obozie zagłady. Mimo że model nigdy nie przekazał walorów realizacji, patrząc

na ów projekt nietrudno dojść do wniosku, iż sugestywnie oddaje on charakter tragicznych wydarzeń, które miał upamiętnić. Warto też przypominąć, że w chwili powstania nie miał on formalnych analogii w polskiej rzeźbie pomnikowej.

Do czasów wojny i okupacji nawiązują też inne pomniki Strzyżyńskiego: w Bełcu, Laszczowie, Samokłeskich i Kocku. Artysta jest ponadto współautorem symbolicznej rzeźby na terenie wyższej szkoły lotniczej w Dęblinie. Od wielu lat zajmuje się również medalierstwem, a dobre wyniki tej pracy przejrzysto ilustruje wystawa lubelska.

Strzyżyński w zasadzie nie uprawia rzeźby dla rzeźby, dla satysfakcji płynącej z odkryć formalnych czy technologicznych. Często pracuje na zamówienie, jakby kontynuując starą tradycję średnio-wiecznych czy renesansowych artystów, których prestiż mierzone przede wszystkim ich zdolnością spełniania społecznie ważnych — praktycznych i ideologicznych — potrzeb. Czy nie grozi to sztampę, zatruta indywidualnością? Jeśli rzecz cała miałaby się sprowadzać do pokornego ilustrowania życzeń zleceniodawców — na pewno tak. W wypadku Strzyżyńskiego mamy przecież na ogół do czynienia z zupełnie innym podejściem: indywidualną, rzeźbiarską, honorującą składane specyficzne języka interpretacją przedmiotu autorskiej uwagi. Podkreślam ten moment, bo mimo wszystko jakoś nie przemawia mi do przekonania stwierdzenie pewnego młodego „aktywisty”, który niedawno prezentował w galerii „Labirynt” swoje myślenie o sztuce: *Spoleczność użyteczność form mojego działania decyduje, czy jest ono sztuką.* (Cytuje z pamięci). To minimalizm, ale i kokieteria, nieśmiałość.

Stanisław Strzyżyński bierze udział w wystawach i konkursach: ogólnopolskich i międzynarodowych — już 25 lat. Ale wcale nie wygląda na człowieka znużonego. Może dlatego, że jego realistyczna, czasami zbliżająca się do ekspresjonizmu, twórczość znalazła trwałe miejsce w przestrzeni społecznej.



**S**TALIŚMY z naszą dywizją i tatarskimi czambułkami na prawym skrzydle. We środku szły lasy, od dragonii i piechoty osadzone. In summa do tysiąca może muskietów z kilkoma działkami. Król jegomość na lewym skrzydle się nachodził z litewskich znaków złożonym pod pana pisarza polnego przywodem.

Gdy jeno mgły opadły, ruszą rajтары, a od nas letkie znaki i Tatarów trocha, na harc, na siłę i ochoty poprobowanie. O stanie się to dzieje, może o pół od naszych chorągwi; mogliśmy widzieć jako na dłoni. A było iście na co patrzeć. Kiedy letcy z Tatarami na rajтары siedli, zdało się, jako ich wręćce zamykają i z pola zepchną.

Osobliwie tam, gdzie się z Tatarzy potkać przyszło, chwiała się lutrów skwadrony, do walki z dżikiem, wrzeszczącym „alla”, z luków szyjącym nienawykłe przeciwnikiem. Widziałeś był, jak ordynicy by charty wedle dzików, wokół rajтары uwijają, jako pod końskie brzuchy nagle kryją, powietrze próżne rajterskim ostawiając rapirom, ścinają lutrów szablami albo na arkany łowią.

Jakoż w tym się punkcie Szwedy mięszać poczują, ale ze harc to był a nie rozstrzelenie, na ustęp im otrąbiono. Tatarzy i letkie znaki skoczają z nimi, ale kiedy jeno pod szwedzki przybliżają obóz, rajтары na dwie obrócić strony, a naszym obaczą się in prospectu piechoty, która muskietną strzelbę po nich puści a z

skie kaftany i kapelusze. Dolatało granie trębek.

Widząc pan Czarniecki piechotę naszym z dragonią ku mostowi odwrót, a na litewskim skrzydle zamieszanie, co nie wiktoria wyróżzyło nieszcześciem naszym, da ordynans odwrotu. Ze to wiatr kurze nawiewał od strony mostu i szwedzkiemu nas skrywał oku, chorągiew za chorągwią, pułk za pułkiem wartko się ku południowi obraca.

Droga tam nieszeroka między Wisłą a wiślany odnogami bagnistymi, wąską kolumną potrzeba iść żąda, a że lutry, obaczywszy, ścigać nas zaraz mogli — co się i stało — galopem kasztelan uchodzić każe. Tu się dopiero pokaże, jako z pospolitaki wojnę agere haniebnie rzecz trudna i przykra, bo się pannotwie szlachta, z Tatarzy nie chcą łączyć wstrzymali, inszej szukając drogi.

Aleć się niesubordynacja na nich pomści, bo ledwo kurz opadł, obaczą Szwedy, jakośmy uszli i w pogoń rzucą. Na pospolitaków trafiwszy, we błota ich a odnogi wiślane wpechną, gdzie wielką w ludziach ruinę ponieśli. Tknęła się ta nieszczęśliwość osobliwie belskiego województwa, z których tegoż czasu do ośmdziesiąci żywym wzięto albo na błotach i bagnach jako kaczki wystrzelano.

Na drugi zaraz dzień pokazal już był pan Czarniecki Szwedom zęby. Nie była jeszcze dywizja w dobrym porządku. Stratyśmy także mieli niemale. Aleć tak to zawždy było z panem kijowskim;

trzymały chorągwie. Nie było się już co skrywać, na ostatek, w pola wyszedłszy, nie było i gdzie. Każe tedy pułkownik trąbić do ataku. Puścim konie we cwał, szable w garść i „Jezus, Maryjo” — wrzasanawszy, by się przecie od poharćców, „alla” swoje wyjątych, odróżnić, w obóz wpadamy.

Naszej chorągwi przyszło z kornetem rajterskim zetrzeć. Drukie pancerne wzięły na szable owe piesze kompanie egzercycjów zalywające. Tatarzy z letkimi — kola zatoczywszy — z boków a z tyłu na obóz wpadną, namioty ruinując, wozy obalając, a piechurów, z namiotów wyskakujących, jako bydło przed sobą pędząc a siekąc.

Skoczym na rajтары takowym pedem, że się co słabsze konie pobalaly. Część chorągwi — lutrów roztrąciwszy — na drugą stronę przejedzie i do nowego szykuje sztosu. Tamem i ja był, przy panu Kielczewskim, wedle którego chorągwy ze znakiem rozwiniętym i kilka jeszcze pocztów. Zawola porucznik: „Mości panowie! Szereg! Szereg formować! W nich!” Krzyknawszy konia cwałem puści. My za nim, na wypródkę. Nie minie i pół Zdrowaśki, a jużemy im na karkach siedzieli.

Dobra nasza! Z tamtej strony ostala część chorągwi, na dwa się tandem części rajтары dzielą, co im, zamieszany, nie tak sprawnie jako zawždy szło. Znowumy jako pijawki do ich boków przypieli. Najadę na grzecznego oficjera,

## POWIEŚĆ O SZCZĘKU ORĘŻA

Bohdan Królkowski specjalizuje się i znany jest czytelnikom jako badacz polskich spraw historycznych, szczególnie XVII wieku. Na ten temat pojawiały się jego publikacje w „Twórczości” i w „Kamencie”. Polskie Radio zamieszcza cykle jego gawęd, m. in. „Wśród uszarzy i pancernych”, 4 katalogi wystaw Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy posiadają wstępy jego autorstwa. Sam rozpoczął trzecią serię publikacji prasowych związanych z przeszłością. W Państwowym Instytucie Wydawniczym oczekuje na druk „Dziennik mego życia” Marcina Matuszewicza” zawierający 1600 stron samego tekstu, opracowany przez Królkowskiego, nakładem Stowarzyszenia PAX wydłże jego dwutomowa antologia pamiętników XVII-wiecznych pt. „Od Kirchoimu do Wiednia”. Wydawnictwo MON opublikowało Królkowskiego pracę popularno-naukową pt. „Labyrint wojny północnej”. Ostatnio nakładem tegoż wydawnictwa, a spod pióra tegoż autora, wyszła powieść historyczna pt. „Błażeja Siennickiego dziennik z wojny szwedzkiej”, zwracająca uwagę udatnym użyciem staropolszczyzny.

Nie jest to zresztą końcowy etap zainteresowania autora tym tematem. Napisał i złożona w Wydawnictwie MON jest druga jego powieść pt. „Błażeja Siennickiego przypadki wojenne osobliwsze”, a na warszcia trzecia — „Błażeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje”. Niżej publikujemy wypowiedź autora na temat jego pracy, udzieloną pracownikowi naszej redakcji:

— Zainteresowanie wiekiem XVII odczuwałem już w okresie szkolnym. Wzmogło się ono za czasów okupacji, kiedy instynktownie poszukiwałem się lektur mogącym wesprzeć nadzieję patriotyczne. „Ku pokrzepieniu serc” — to określenie przestało być tylko zwrotem kryptycznie-literackim, w warunkach okupacji nabrało żywiołowego sensu. Pamiętniki zajmowałem się przez ostatnie kilkanaście lat. Kiedy gawędy o husarach i towarzyskich pancernych szły przez radio, ówczesny pracownik lubelskiej rozgłośni, Janusz Weroniczak, podsunął mi kwestie, czy nie warto by uściwili ich drukiem. Drugim argumentem stała się moja działalność jako krytyka. Skoro przeprowadzałem ocenę i udzielałem rad — a jest to przecież w tej profesji zaleceniem nieuniknionym — wyszła samemu zmierny się z trudnościami rzemiosła, i tak przekora w stosunku do samego siebie stała się dodatkowym powodem, dla którego moje zainteresowania historyczne znalazły się na warszcia pisarskim.

— Interesuje mnie warstwa stylistyczna powieści: język, którym pan operuje, nazwałbym archaizmem, nie archaizowaniem. Uważałem mnie do tego tak znaczny stopień językowego autentyczności tam zawarty.

— Można tak określić, chociaż pełnej archaizacji w dostojnym tego słowa znaczeniu osiągnąć się nie da. Da się co najmniej ująć styl, który będzie „do ducha języka” danej epoki. Za szczególnym umiarem odnosi się do powieści „Władztwa Zambruckiego” „Pamiętnik Filipka”. Czas tej akcji to lato po trzecim przelocie, od Zambruckiego osiągnął to mistrzostwo, że powieść czuła się jako autentyczna relacja. Jednakże i w tym uwarunkowaniu się znalazł autor, a nie sukces filona, niepowal oprócz samego lektury istnieją kwestia użytkowania słownictwa, a tego całkowicie dokładnie powtórzę się nie da. Inaczej postanowił m. Andrzej Stoliński w powieści „Car-kie wrotat” (naprawa i Duma Samozwańca na Moskwie): zachował archaiczne słownictwo, składnie dał uwarunkowaną, skutkiem czego czytelnik przelocet języka, ale nie uwarunkował kalności. Ja starałem się zachować i słownictwo i składnie. Również nie bez pewnej mistyfikacji. Mianowicie w tekstach podjętych przez siebie i nawet udało mi się kilku znanymi na nie narobić. Dodał jeszcze, że pomocna w odtwarzaniu dawnych form językowych była mi wiejska orawa, która uwarunkowała wizerunek przeszłości naszego języka.

— Autentyczność powieści historycznej to jej warunek zasadniczy. Czy podziela Pan ten pogląd?

— Natężnie. Badaniem języka, uwarunkowanie, obaczając. Przeprowadzałem wiele takich miejsc, których dotyczy a jako moich powieści. A powieści piewo kasparskich, nauczyłem się dodatkowo jeździć na koniu, co mogę udowodnić zdjęciem fotograficznym.

# Z panem Czarnieckim pod Warszawą

Bohdan Królkowski

działek regimentowych. Nawręcą tandem do tyłu.

Gdy się to dzieje, słyszam; działa się ozwa z strony, gdzie nasza stoi piechota. Pojrzym; od Szwedów czworoboki się ruszą pikami najeżone i jako żuki wielkie ku naszym pełzną. Dalej jeszcze, gdzie ledwie widni Litwa stali, luterskie się pokażą skwadrony. Kurz się wszakże wznieś, których nie dozwolil widzieć, co się na lewym dzieje skrzydła.

Tym ci czasem działa się chichły. Piechota szwedzka ku naszej się przysunie i dobry dzień sobie wzajem dawać poczują. Daleć tam naszym Szwedom odpór potężny. Strzelby z muskietów dolatały do nas grzechot potem i krzyki, bo się tam wręcz bitwa weźmie. In summa z godzinę to może trwało. Na resztę, kiedy między szwedzkimi a brandenburskimi generał dyfidencia powstanie, jako dalej bitwę progredzi, naszym — czas wykorzystując — ku mostowi się cofną.

Nie mogłem był widzieć, co się tam działo, bo na nowo kurzu tumany się wznieśli, aleśmy potem słyszeli, jako król jegomość własną osobą, na bezpieczeństwo względu nie mając, szpady jawniej, ordynku piechotę ustępujących a dragonów strzegł. Most, choć całe szeroki, pomieścić nie zdołał cispnacych. Do wody tandem wzajem się spychali, dignitatis nie bacząc. Prawiono, jako pan Rewera, koronny hetman, o mały tam włos we wodzie się nie naszedł, także i Zamojski, sędmiński wojewoda.

Pan miłociwy w onej cizbie ledwie że się przeprawił, za nim zaś co żywo, cisnęło się. Na resztę most — pospieszenie i leda jak robiony — rozzerwał się. Postrzegł król, piechotom soinał go każe, co, jako mogli, zrobili. Z wielką szkoda ludzi przeprawa ta odbyła, którą we Wiśle — z mostu pospadawszy — utonęli. Na ostatek most z praskiego końca zapalono, przez co się szwedzki imnet uhamował, którzy już na most leżli.

Tejże godziny ku nam się poczują przy-suwają luterskie regimenta. Widziałeś sztandary ich na wietrze wiejące, rajterskie skwadrony z dragany w szachownicę. Słońce — kiedy kurz od wiatru spychany, pole odslaniał — świeciło na pancierzach a hełmach, lyskało na rapiarach dobytych, zólciły się brandenbur-

jeszcze się wróg nie był wiktoria nasycił, a już mu wczorajsi rozbitkowie na kark siadali.

Spod Okuniewa — gdzieśmy się w odwrocie wstrzymali — ruszy nas kasztelan we dwańście chorągwi spod różnych pułków, te destynawszy, co konie mniej zgonione miały i towarzystwa pod znakiem magnan partem przytomnych. Krom paru letkich i dziewięci pancernych, czambułik był z nami tatarski, koni półczwartą sta. Poszlim o świtanie — pro more — od Wisły się oddaliwszy, gdzie w rozlewiskach bagnistych łatwo w obierzę wpaść byśmy mogli, jako pospolitacy wczora, gdyby na większe lutrów przyszło trafić sily.

Z naszego pułku pięć szło chorągwi. Dodał też pan kijowski staroście bohusławskiemu Tatarów, co w nagłym napadzie a odwrocie szybkim — jako był kasztelański zamysł — na walnej mogli stanąć pomocy. Lukiemyśmy poszli. Chciał regimentarz ode wschodu na Szweda uderzyć, skąd się polskich chorągwi nie spodzieli, łatwiejszą ergo liczył mieć robotę.

Grochów mijając, w laskiśmy weszli olszynowe, bagniste i przykre, za którymi nawraca nas kasztelan i prosto na zachód puszcza. Chorągwie rozdzielono na dwie partie. Pierwszą pan Szemberk przywozili, drugiej regiment kasztelan przy sobie ostawił. Pół mili uszedzszy, obaczył namioty białe, w słońcu błyszczące, do sta, może więcej.

Obóz to był infanterii szwedzkiej regimentu, przy którym kornet rajterski, co się właśnie na błoni egzercował. Pieszycy także parę kompanij we wojennych ćwiczyło obrotach (co Carolusowse zawždy czyniło wojsko, w obozie między jedną a drugą leżąc potrzeba), ale reszta regimentu — naszym szczęściem — otia przepędzala w namiotach. Armat także ujrzelim kilka, z daleka świecących, jako że dzień słoneczny był.

Ciągnęliśmy traktem od Mińska Mazowieckiego ku Warszawie — szerokim, piaszczystym, sosną a brzoškami po brzegach obrośniętym. Do ataku nas sposobiac, szerokim frontem ustawił pan Szemberk chorągwie i ordę, byśmy całą siłą o szwedzkie mogli uderzyć piersi. Tatarów — na dwa rozdzieliwszy czambułki — na skrzydła stał, po letkim znakowi im przydawszy. Srodek pancerne

Kapelusz z piórem, biała szarfa, pancierz na niebiesko szmelcowany, kaftan aksaminny. Paniątko to jakoweś być musiało, bo i konia miał przedniego, i rządził zacy.

Zetrę się z nim aż koni mu dęba staną. Mój nieplochlwy. Dał się cofnąć i ledwie go ostrogą ruszył, skoczy na szwedzkiego. Przeleciał. Cofnę go raz jeszcze i ku oficjerkowi. Konie jego tańczył jak baletnica, na resztę broniesmy skrzyżowali. Brzęknie szabla o szpadę. Zdało się: pryśla jego stal, aleć nie. Patrzę: w siodło się uniósł i jako kobaz we mnie uderza. Zaslonię się szablą. Wytrzymałem. Pojrzę mu w gębę. Młody — w moich może lęciach — wąsik mały, rudawy, gęba rumiana. Odkarmil się na naszym chlebie. „Czekaj — myślę sobie — już ja naznaczę tę twoją gębusię, że cię i mutti nie pozna.”

Przytę mu tego. Wytrzymał. Przytę jeszcze. Drgnęła mu ręka. Cofnął konia, ostrogami żgnął i jak nie skoczy. Ledwie się uchylił. Od lewej zajechał. Ciąg nieporęcznie. Dobrze, jakom popisał w kulbace uchylić, bo by mi plucio albo — strzeż Boże — serce przebił, a tak jeno ramię naszpikował. Nie poczulem i bolu w bitewnej gorętwie. Do tyłu konia i na niego, luk zatoczywszy, od prawej zajadę. Alem poznał, że z tegim szermierzem sprawa, bo konia, jako baletnicę, w miejscu obrócił i szpadę ku mnie wystawia.

Trza się było z onym rozprawić. Cóż, kiedy gemajnow ze czterech w pomocą mu skoczy. Doznałem jako mi ujdzie. Rajtara jednego przez ramię ciąłem, alem widno słaby już był, bo z konia nie zleciał. Szczęściem czeladź, widząc, że ranion, w sukurs mi idzie. Pojrzę na boki. Naszy robią, co mogą. Już tam nie jeden rajtar ziemie gryzie, ale pulkownik dojrzał luterskie auxilia, że to strzaly poslyszawszy brandenburskiej rajtarii regiment galopem ku nam sunie. Ozwą się trąbki do odwrotu.

Fragment książki pt. „Błażeja Siennickiego przypadki wojenne osobliwsze”, która ukazuje nakładem Wydawnictwa MON.

# „WDK” W PARYŻU

Jacek Głazewski

**M**USISZ koniecznie TO zobaczyć — zawołali moi znajomi, gdy po powitalnej kawie i kontakcie zapytałem, co nowego w Paryżu.

„To” znajduje się na skraju IV dzielnicy na Placu Beaubourg i na pierwszy rzut oka stanowi skrzyżowanie kombinatu petrochemicznego z tą częścią nabrzeża portowego, gdzie stoja dźwigi do wyladunku drobnych. Georges Pompidou Centre było już prezentowane w „Kamieniu” (nr 8 z br.) niedługo po oddaniu do użytku jego urządzeń. Ja chciałbym podzielić się z czytelnikami pewnymi refleksjami, m. in. nad funkcjonowaniem obiektu. Centrum bowiem — taki paryski Wojewódzki Dom Kultury — nie tylko wyglądem, lecz także treścią i formami działalności budzi kontrowersyjne doznania i u paryżan i u cudzoziemców.

W Paryżu uważa się, że jest to duży krok naprzód w dziedzinie demokratyzacji kultury. Na najwyższym piętrze wystawa „Paris—New York” eksponująca zbiory amerykańskich kolekcji, gdzie na poczesnym miejscu znajdują się obrazy Picassa i Matissa. Niżej pełna ekspozycja Muzeum Sztuki Współczesnej przeniesiona tu z dawniej zajmowanego budynku przy Avenue Wilson, wzbogacona dużą ilością nowych rzeźb i obrazów. Na parterze, który spełnia rolę publicznego forum, kłębi się tłum zwiedzających w atmosferze jarmarku. Akrobaci i iluzjoniści, trestura psów, deklamacje i przemówienia jak w Hyde Parku, w sklepikach można nabyć pocztówki i surrealistyczne antyrzedmioty, jedna z szwajcarskich firm wystawia świat dziwozobów, cały z czekolady. Gdy znuży atmosfera jarmarku, można przejść do czytelnicy publicznej dysponującej ogromną biblioteką, wypożyczyć sobie książki, taśmy do aparatury video lub diapozytywy. Centrum dysponuje eksperymentalnym ośrodkiem muzycznym, salami do zajęć plastycznych dla dzieci i pomieszczeniami konferencyjnymi, w których można wysłuchać odczytów. Centrum jest agresywne, narzuca nowy styl uczestnictwa w kulturze, denerwuje i oszalała przy pierwszym podejściu, dopiero przy następnych daje się akceptować.

Trudno jeszcze ocenić, jaki wpływ będzie miało Centrum na życie kulturalne Paryża. Zmian radykalnych nie należy się spodziewać; stworzono przecież artystom francuskim, przede wszystkim plastykom, wspólną arenę działania, co jest bodźcem niebagatelnym. Ożywi się na pewno

rynek nowoczesnej sztuki, a już teraz została podniesiona ranga artystycznego Paryża w rywalizacji z Londynem, który otrzymał nowy i również kontrowersyjny w wyglądzie Teatr Narodowy, i z Nowym Jorkiem, który (już dawno) zafundował sobie Muzeum im. Guggenheima.

Paryż nowoczesnej architektury ukazującej wizję miasta XXI wieku, jaką jest dzielnica La Défense, zaczyna się już na lotnisku Roissy. Gdy samolot British Airways, którym leciałem z Londynu, zaczął zniżać się do lądowania, na ziemi ukazał się okrągły budynek portu lotniczego i koncentryczne pasy dojazdowe wyglądające z góry jak ogromna płyta gramofonowa. Wnętrze to przestrzeń, światło, przezroczyste ciągi komunikacyjne wyposażone w ruchome chodniki, łączące ze sobą wszystkie piętra i krzyżujące się na różnych wysokościach. Nie ma tu żadnych ostrych kątów ani załamań, wszystko jest okrągłe, owalne, obłe, przejrzyste i przeszklone, metal i masy plastyczne, nawet fotele dla podróżnych ustawiono w barwne rozety. Całość przypomina wnętrze statku kosmicznego.

Od Place de la Concorde, uznawanego nadal za jedną z najwspanialszych koncepcji urbanistycznych, wchodzi się na Avenue des Champs Elysées, promenadę całego świata kończącą się Łukiem Triumfalnym na Placu Charlesa de Gaulle'a, dawniejszym Placu Gwiazdy. W perspektywie, za Łukiem Triumfalnym, widać wysmukłe wieżowce na drugim brzegu Sekwany. To dzielnica La Défense, której projekt zatwierdzono przed 20 laty. Na 800 hektarach powstał kompleks nowoczesnej architektury, biurowce i domy mieszkalne, węzły dróg bezkolizyjnych, podziemne ciągi komunikacyjne. Budynki — monolity, których elewacje lśnią taflą czarnej płaszczyny, i budynki rotundy czy baszty, których okna są różnokształtne, umieszczone na różnych wysokościach. Kamienna pustynia funkcjonalna precyzyjnie, gdzie człowiek gubi się, zatracając właściwy swój wymiar.

Ortega y Gasset, w wydanej w latach dwudziestych książce „La dehumanización del arte”, przepowiadał dehumanizację sztuki uważając, że proces ten osiągnie w końcu punkt, w którym element ludzki prawie zaniknie w sztuce. Życie w sferze form nie jest jednak tym samym, co życie w sferze rzeczy, przedmiotów jakie znajdują się w otoczeniu.

Formy sztuki nie są jednak tylko postym formami. W organizacji ludzkiego doświadczenia i poznawania mają one wykonania określone zadanie. Architektura jest także formą sztuki, mimo że Witruwiusz odmawiał jej tego twierdząc, że nie ma żadnej różnicy między pracą architekta a pracą szewca. Organizując i wypełniając przestrzeń pracy, mieszkania, wypoczynku, rozrywki, nauki, odczuć estetycznych i związków społecznych — stanowią konstrukcyjną lub destrukcyjną siłę w kształtowaniu zarówno świata fizycznego jak i obszaru doznań i emocji. Ludzie niechętnie dokonują wyboru dzielnic La Défense jako miejsca zamieszkania, a wybierając się do Pompidou Centre zwykle ograniczają się do przebywania w forum na parterze, gdzie panuje nastrój ludycznego jarmarku, kultury gadżetów i specyficznego pseudofolkloru.

Witraże w Notre-Dame i Sainte-Chapelle. Obydwie budowle wznieszone pod baczynym okiem mistrza Pierre de Montreuil. Notre-Dame ma wieże ścięte, nie zwieńczone iglicami, tak charakterystyczne dla gotyku Ile-de-France. Witraże, barwne rozety i medaliony robione przez rzemieślników z Chartres mają ten sam błękit, brąz, purpurę i zieleni, co przed stuleciami, sączą kolorowe półcienie w ciszę naw. Kunst średniowiecznych witrażi był tej samej miary, co kamieniarskich mistrzów. Z tworzywa wydobywano wszystkie właściwości i zalety, jakie tylko dały się odnaleźć. Katedra w Angers została ozdobiona witrażami, których szkło wybiera za każdym razem inną barwę zależnie od oświetlenia, pory dnia i roku. O świcie ma głębie ciemnego błękitu, potem, gdy słońce wznosi się wyżej, przechodzi w purpurę, a w południowych godzinach jest złote, ku wieczorowi odmieniają się wszystkie odcienie fioleto. Witraże w Angers żyją, ale zupełnie innym życiem, niż mobilne Caldera.

Pontus Rulter, który jest dyrektorem Georges Pompidou Centre wyjaśnia, że wybrano projekt Renzo Piano i Richarda Rogersa dlatego, aby stworzyć możliwie największy kontrast między starymi świątyniami sztuki a „architekturą przezroczystą”. W przyćmionym świetle reflektorów przenikającym przez białe płótna sufitów, w rozproszonym, rozbitym na cząstki świetle dnia przenikającym przez przeszklone ściany, sztuka nowoczesna zaczyna tworzyć wraz z architekturą naturalne środowisko człowieka żyjącego w epoce cywilizacji technicznej, lotów na Księżyc i maszyn cyfrowych. Dopiero tutaj płótna, które mawiał Picasso, Chagall czy Matisse, współbrzmia z otoczeniem podobnie, jak stare witraże z kamiennymi reliefami. Jest tylko pewna subtelna różnica w tych dwu porównaniach, do sztuki współczesnej, szczególnie tej z lat ostatnich, można przyzywać się jak do powietrza w klimatyzowanym pomieszczeniu, ale zawsze przychodzi tęsknota za zapachem ziemi i wiosennego deszczu, poznanych w czasach dzieciństwa.

## PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

\* Czwartek jako część miasta, do której przez ozdobione place targowe, a więc niezbyt wygodne i przyjemne, dostawać się trzeba — w samej natury rzeczy nie może być celem spacerowych wycieczek. Lublinian chyba tylko interes lub ciekawość poprowadzić może do schłodzonej najszybszej dzielnicy. A jednak wiele tam rzeczy godnych widzenia. Pomijamy mile błasko, które przy najmniejszym dotknięciu mimo braków do kostek sięga, a udajemy się wprost na cmentarz żydowski, który zwiedziliśmy przed paru dniami. Cmentarz ten dość od miasta oddalony i połączony z nim najniewgodniejszą drogą przedstawia obraz najwcięższego zaniedbania. Jest to kwadrat ziemi opasany parkanem zarosły zieleńmi i bodajkam. Ani jednego drzewa, ani jednej wygrabowanej alejki. Nie co by było dla oka, co by świadczyło o postawieniu i czci dla zmarłych. Tutejsza gmina żydowska musi być niezmiernie biedna. Lecz na sadzenie drzew nie trzeba wielkich kapitałów, a stary cmentarz żydowski na Katinowiczynie, ubrany ze tak powiem w odwieczne drzewa, stanowiący jedną z najpiękniejszych miejsc Lublina, powinien niedługo zachęcić do nasładoowania.

„Kurier Lubelski”

PRZED 50 LATY

\* Szpitalnictwo w Lublinie nie z własnej zresztą winy wykazuje obrzydliwie braki. Świadczenie jednak należy, że walczą z nimi dość mężnie i szczerze. W rzędzie najruchliwszych postawić należy szpital Sw. Wincenciego i Paulo, pozostający pod troskliwą opieką Siostr Szarytek. W ostatnim sezonie szpital ten zdecydował wybudować pokazny pawilon, usuwający najdotkliwsze braki dawnych instytucji. Koszt pawilonu wynosić ma około pół miliona zł. Stoją już wprawdzie mury, leży nad nimi dach, wszystko to jednak jeszcze mało wobec potrzeb inwestycyjnych wewnętrznych. Jak wiadomo, instytucja ta posiada majątek fundacyjny Swidnik, składający się z ziemi i lasów. Majątek ten bywa oddawany w dzierżawę. Las zaś przynosi dochód z wyrebu. O ile zatem temata dzierżawna uzyska odpowiednią wysokość, której nie zmniejszą pewne pociągnięcia, szpital będzie mógł przystąpić do wykończenia dla dobra społeczeństwa swego pięknego pawilonu.

\* Lublinem wstrząsnęły w dniu wczorajszym ok. godz. 4 po południu silne detonacje. Były to wybuchy granatów i amunicji niszczonej na Czechowce. Wybuchy szczególnie trzy pierwsze bardzo silnie wywołały w mieście przestraszoną panikę spotęgował jeszcze wjazd Straży Pożarnej, która w czasie wybuchów pedziła do pożaru jakiego wybuchu w chmielniku Bromberga. Na ulicę wybiegły tłumy zaniepokojonej publiczności, która hukami różnie sobie komentowała. W wielu oknach powysyły szyby. Najwięcej odbiły się wybuchy na centrali telefonicznej, która była po prostu zawalona prośbami o połączenie. Telefony redakcyjne nie milkły ani na chwilę. Zewsząd pytało co się stało, nie sposób było nadać z wyjaśnieniami. Nasz dodatek nadzwyczajny, który ukazał się na mieście o godz. 5 po południu, a w którym oprócz depesz warszawskich podaliśmy również przytoczyliśmy detonacji, uspokoił całkowicie podniecone umysły, kładąc kres najroźniejszym plotkom kursującym w mieście.

„Głos Lubelski”

\* Istniejące od kilku miesięcy w Lublinie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wykazuje coraz to rosnącą działalność. W krótkim czasie zdotało skupić już około 200 członków i zorganizować w całej pełni swoją stronę administracyjną. Towarzystwo rozporządza już dzisiaj szeregiem wydawnictw, które w myśl przepisu statutu przeznaczono dla zapracowanych członków, zanim Towarzystwo będzie mogło przystąpić do wydawania własnego periodyku. W najbliższym czasie Towarzystwo Przyjaciół Nauk przystępuje do zorganizowania sekcji regionalistycznej, której zadaniem będzie poznanie naukowe Lubelszczyzny we wszystkich przejawach jej życia historycznego w przeszłości i teraźniejszości oraz skupienie wszelkich poczynań celem podniesienia rozumnego samolubstwa zakątka swego kraju.

„Ziemia Lubelska”

Wybrała: Anna Orzechowska

STANISŁAW ŁAZOREK

Pejzaż



Fot. J. S. Kurulizwili

nęła przy drzwiach otwierając je i zamykając, a odeszła od nich dopiero wówczas, gdy zapytałem ją z uśmiechem: „przepraszam czy pani na dwóch etachach?” Po dłuższej chwili zrozumiałem, że pierwszą rundę wygrałem; obie panie, może trochę wbrew sobie, zaakceptowały mnie.



Fot. J. H. Kowalewski

Już pierwszej nocy zwalniało mnie z pracy kilka osób; byli to klienci mający moeno w czubie, których nie chciałem wpuścić do lokalu. Sporo chętnych, chwiałych się mocno, pokazywało przez szybę banknoty, legitymacje służbowe różnych instytucji państwowych, jeden — legitymację honorowego dawcy krwi.

Rzut oka na lokal: parter z 40 miejscami i góra z 70 (tamże parkiet do tańca), niezły zespół muzyczny, cały budynek zabytkowy, wentylacji żadnej. Po dwóch godzinach już cały jestem spoczony. W chwili, gdy otwieram drzwi, jak spod ziemi wyrasta tłum, choć przed chwilą nikogo nie było. A kelnerzy z pretensjami: „panie, kogo pan wpuszcza?”. Orientuje się, że największy konflikt nie będzie przebiegał na linii portier — konsumenci, a portier — kelnerzy.

Portier wpuszcza w zasadzie każdego, kto chce wejść, a kto wyglądem swoim specjalnie nie razi. Trudno przecie, abym występował w roli milicji, obyczajówki, czy wychowawcy przedszkoła. Jeżeli były miejsca wolne, wchodził każdy, gdy się robiło gości, trzeba było przebierać. Kryteria wpuszczania klienta są w zasadzie takie: w pierwszym, oczywiście, znajomi, z nimi najmnie kłopotu. Wchodzi np. red. B., przy kupowaniu kart konsumpcyjnych daje mi 50 zł napiwku, protestuję, a on śmiejąc się mówi: „dobrze, dobrze, stary, wiem, co robie”. Potem wypatruję gości w miarę trzeźwych i mimo protestów chwiałych się pijaków, wpuszczam ich, choć muszą uważać, by hurma nie wdarła się do środka. Mój poprzednik, Wiesio, poddał mnie żyłkowi: „Gdy sporo ludzi się przyjdzie, mój poprzednik, stary, nie poddał tak do drzwi, z gości nie wolno dyskutować, bo nie nie zarobisz, niech zmiekną, a jak któryś pokazuje coś przez szybę, np. pięćdziesiątkę, to dopiero podejdź, patrz, czy nikt nie widzi, jak bierzesz forę. To trzeba umieć, ja na uniwersytet nie chodziłem, a u mnie więcej od niejednego magistra. Stary, tu na pensję się w ogóle nie patrzy, ja dziennie niżej pięciu pak nie schodziłem”.

Wysłuchawszy tego nieskomplikowanego wykładu z dziedziny etyki zawodowej wykidajły, spróbowałem i ja — kręgosłup znów nie taki mocny — trochę dorobić. Pensja portiera wynosi około dwóch tysięcy zł, a praca ciężka, od godziny 7 wieczorem do 3 rano, cały czas na nogach. Ktoś, kto ustalał te zarobki, musiał przez kilka miesięcy bywać w knajpach i wysłuchiwać mitów o niezbyt legalnych zarobkach portierów, szatniarzy, babę klozetowych. A są to mity moim zdaniem. Sam byłem wielokrotnie świadkiem, jak gość przy szatni klócił się o 10 groszy reszty z zapalek, jak pijany w sztok facet zarzygiwał dokumentnie lokal (sam pomagałem sprzątać), jak na weselu na 70 osób, które kosztowało ok. 100 tysięcy zł, dawano kelnerowi 5 zł napiwku. Ktoś, kto przychodzi do nocnego lokalu, czuje się tam trochę jak w cyrku, napatrzeć się może do syta, zabawić, zjeść, wypić — czasami za darmo. Oczywiście są i wyjątki...

leżą na ulicy. Tymczasem leżały, dosłownie. Któregoś dnia po jakiejś drobnej szarpance pod drzwiami, z której wyniosłem koszulę z poobrywanymi guzikami, ze zdumieniem dojrzałem leżący na ziemi na zewnątrz banknot dziesięciodolarowy; prezydent patrzył na mnie nieco ironicznie.

Moje konflikty z ludźmi wynikały przede wszystkim z mojego wyidealizowanego spojrzenia na rzeczywistość. Pedagogiczne zaś zapędy do wychowywania ludzi podobne były w zamiarach i skutkach do wysiłków porucznika Dupa z powieści Hańka o Szejku.

Najmniej kłopotów ze stałymi bywałcami — to rzeczywiście inteligencja, tyle tylko, że już zdrowie nie to. Nie brakuje nauczycieli, lekarzy, prawników, lecz ci upijają się rzadziej. Sądzę, że samokrytycyzm w ostatniej chwili włącza sygnał alarmowy. Najgorsi są ci z marginesu, ciągnący do lokalu w centrum miasta niczym do miodu. Tu można podderwać frajera, który postawi. Przy

szalem opinię: „On jakiś nienormalny, forsy nie bierze, z miłejantami się wita jak kolega, to na pewno jeden z nich”.

Wesela w restauracji — kto ich nie widział, nie zna życia! To bałaga zaskakująca co najmniej na socjologiczny traktat. Sporo większego obyczaju, trudno dzisiaj w M-4 robić wesela na pięćdziesiąt, siedemdziesiąt osób, więc robi się w restauracji. Gastronomii to się opłaca, od wesela, w zależności od liczby gości, 40—70 tysięcy złotych, czyli tyle, ile targuje się przez dwa dni. Repertuar śpiewów bywa dość monotony, ale jedno weselo zapamiętałem. Panna młoda była jakaś zgaszona, facet w czarnym garniturze, starszy nieco, chodzi po lokalu tam i z powrotem, mamrocąc: „Zabije, zabije”. Okazało się, że był to ojciec panny młodej. W kościele był, dał córce pięć tysięcy złotych, ale na uroczystości weselnej zaproszony nie został. Jakież wieloletnie komplikacje rodzinne. Po pewnym czasie któraś z kelnerek przybiegła do mnie, alarmując że się biją. Poturbowanym był ojciec panny młodej, brat pana młodego dał mi po mordzie. Starszy pan znalazł się na ulicy, wyrzucony siłą przez całe weselo zgromadzenie. Czekał do drugiej w nocy, ale ponieważ był w pojedynkę, dostał od wychodzących po raz drugi. Panu młodemu złożyłem dziwne życzenia; powiedziałem mu, że nie byłoby dobrze, gdyby doczekał losów teścia. W odpowiedzi spojrział ze zdziwieniem na wykidajkę składającego mu takie powinnowania w dniu ślubu.

Przyszedł w końcu moment, że moje doweipy przestały robić wrażenie. Początkowo pijacki reagonali na moje odzywki o inteligencji i uciekali, ogładając się za siebie, co to za dziwne monstrum w tych drzwiach stoi. Potem się przyzwyczaili, dostrzegając zaczęli moje słabości, m. in. nieprzepatą chęć rozmowy. Poza tym nie da się ukryć: do silnych nie należę. W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że dłużej nie dam rady. Pozbierałem jeszcze trochę anegdot, zapamiętałem te i owo. Topografia tej knajpy utkwiała mi w pamięci na dobre!

wódce wszak wszyscy są równi: widziałem przy jednym stole dyrektora jednej z instytucji lubelskich, prostytutkę i złodzieja; języki, jakimi się posługiwali, niewiele się od siebie różniły. A propos wódki: mogłem w ciągu jednego wieczoru wypić około litra czystej, zupełnie za darmo. Rozmów na temat mej abstenencji przytoczyć zresztą nie sposób.

Nie piłem, choć niektórzy twierdzą, że tylko dlatego, iż nie wolno mi było ani na moment odejść od drzwi. Wiem, że drzwi tej restauracji śnić mi się będą po nocach; kilka razy mnie za nie wyciągano. Jak tu nie być wierzącym, skoro milicja znajdowała się rzeczywiście wtedy, kiedy było trzeba?

„Pan tu jutro nie będzie pracował!” — to słyszałem najczęściej z ust niezbyt trzeźwych bywalców lokalu. Ci, którzy mnie „zwalniali”, przychodząc następnym razem byli najmiłszymi ludźmi pod słońcem. Do czasu, dopóki nadmierna dawka alkoholu nie wyzwalała drzemających w nich instynktów do spełniania zadań, których na trzeźwo nie dane im było spełniać. Jeden z pierwszych dni pracy zapadł mi w pamięci dość mocno. Kelnerka zwróciła się do mnie, abym wyprosił jednego z bywalców, zachowującego się zbyt swobodnie w stosunku do restauracyjnych gości. Gdy podszedłem, ujrzałem gorylowatego osobnika z wytatuowanymi rękami; sądzą, że tatuaz miał również pod koszulą, gdyż spod niedopiętego kołnierzyka wyglądał rysunek atrakcyjnej piękności. Oczy człowieka zetknęły się z moimi, wyczytałem w nich zdziwienie, że taka miserota chce go zmusić do wyjścia. Postawa typa dość jednoznacznie zdradzała bokserskie zamiary. Zdoylem się na pomysł. Podszedłem mówiąc: „Przepraszam, chce panu coś powiedzieć”. Agresja u typy znikła, zbliżył się do mnie, a ja nachylając się konfidencko powiedziałem: „Panie, co się pan z holatą będziesz zadawał, przy pańskiej inteligencji oni panu nawet do pięt nie dorosli”. Facet zdrtęwał, spojrzął na mnie z przyjaźnią i powiedział: „Pan jesteś gość na poziomie pan wyczuwasz człowieka, a oni (tu solum) to frajerstwo”. Pożegnał się i wyszedł. Od tej pory zasłużyłem sobie na miano charakternego, tacy różni oferowali mi swoją pomoc na wypadek ewentualnych konfliktów.

Kierownik lokalu miał często pretensje o wpuszczanie prostytutek. Początkowo dość trudno było się zorientować, kto jest kto. Po pewnym czasie już coś niecoś wiedziałem, a metody też miałem dziwne. Jakaś „panienka” usiłuje wejść, a ja: „Pani dzisiaj nie wejdzie”. Na pytanie, dlaczego, odpowiadałem: „Bo wczoraj pani zachowywała się nieelegancko”. Skutkowało, coraz mniej pan reprezentujących najstarszy zawód świata usiłowało wejść do knajpy. Usty-



Rys. L. Szalecki

Rozmawiając z ludźmi z tzw. siły lub raczej chęry, przylapałem się na refleksji, że nie jest istotny sens wyboru etycznego, bo przecież dla nich stanowiącym jednym z branży, skoro nie przeciwstawiałem się dość mocno ewidentnym świadkom, których mimowolnym świadkiem byłem wiele razy. A zatem nie jest ważna okazjonalna maseczka przyzwoitego obywatela, bo jeśli raz się godziłem na draństwo, ba, nawet w nim w jakimś sensie brałem udział, to znaczyłoby, że znak jakości wybitny na mej powłoce cielesnej jest dość podejrzaną konduity. Cale szczęście, że w porę opamiętałem się, a złoty cielec, którego trochę polizałem, nie zmienił zbyt szybko mej wiary w Człowieka. Przez duże C.

Alojzy Wiór



# KRZYŻÓWKA

(nr 22)

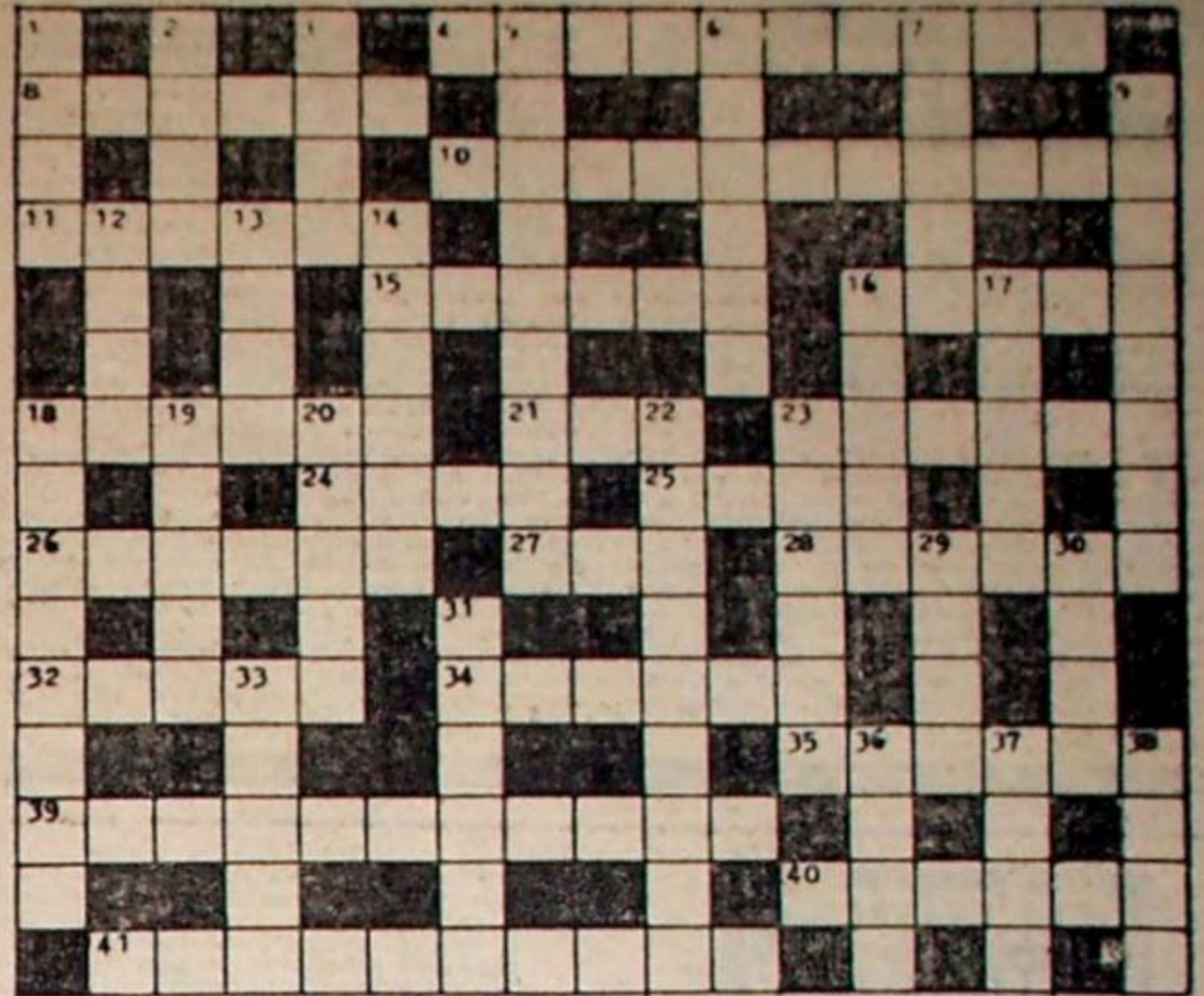
Przebieg: 1. postać z „Nawizera” Go-gośa, 2. część koka pojazdu, 16. współczesny pisarz polski, autor „Biegu do Pragi”, 11. armata lub haubica, 13. miasto między Warszawą i Sochaczewem, 16. rocznik szkoły, 12. pełniła administracja państwowa, 21. dodatek do mięsa, 23. chęć do jedzenia, 24. leśny kurczak świni, 25. czarony przyjaciel Stasia i Nel, 26. krytyczny humor, 27. przepływa przez Stargard Szczeciński, 28. brat Polluxa, 22. wypoczynek na powletrzu, wczasy, 24. najslyniejsza epopeja świata, 25. poeta chilijski, laureat Nagrody Nobla, 29. przemyt, 40. pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla w 1921 r., 41. instruktorski stopień harcerski.

Pionowo: 1. dolna część, 2. republika w zach. Afryce, 3. ważny mebel, 5. pisarz radziecki, autor „Jak hartowała się stal”, 6. wybitny współczesny polski reżyser teatralny, 7. pies — bohater serialu telewizyjnego, 8. płaski filar przyścienny, 12. halda, wosk, 13. miasto w zach. Rumuni, 14. śnieżawa, obelga, 18. odbitka przez kalke, 17. pierwiastek promieniotwórczy, 18. kompozytor polski, współtwórca „Kabaretu starszych panów”, 19. twórca, 20. źródło, 22. grupa literacka w międzywojennej Polsce, 23. poeta starogrecki z VII w. p.n.e. działający w Spacie, 29. polska cieżarówka, 30. deszcz lub śnieg, 31. Boruta i Rokita, którzy nadali, 32. odtwórca ról, 36. rzeka w Hiszpanii, 37. wyborczy sprzęt, 38. zbiórka poranna lub wieczorna.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-551 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 20

Pozioomo: Przymanowski, aura, tor, esad, doża, Kuba, kangur, Amfitrion, owca, Izaak, skalp, aria; Nikaragua, rzepak, rata, elki, siano, dom, kopa, Iwaszkiewicz.



Pionowo: Krazewski, smola, Antygona, kwadrat, witamina, kark, drob, Ukramia, Uri, Rapacki, osmiornica, akademia, koreczki, Mariusz, kol. aster, Amor, Adam.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 20 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowa-

li: Bohdan Białkowski 20-325 Lublin, Droga Meczyniów Majdanka 137, Wacław Białacz 21-100 Lubartów, Krzywe Koło 35, Lucjan Rudnicki 22-496 Zamosć, H. Sawickiej 37 b, Edward Gąsiok, 35-104 Tarnów Skowronków 718.

# POCZTA LITERACKA

R. P. Lublin. A właśnie, że nie mam powodów Pani zniechęcać. Mówię to nawet w wypadku, jeśli by Pani skromność była tylko chwilowym stylizacyjnym mającym zamortyzować uwagę krytyczną. Tylko że uwaga jednak jest. Jakże! Pani ma skłonność do wierszyców, do serebrosiok. Odbieramy Pani swiatek, nie odbieramy światła. Oczywiście, że i w ten sposób można osiągnąć czysty ton, mamy tego wiele przykładów na terenie tw. poezji kobiecej, tylko ta mała skala, dysparen picolo — fleitu oby nie stał się manierą. „Kasie” zachowujemy w tece.

W. G. Lebeck. Gdybym miał porównać te wiersze do obrazów, powiedziałbym, że są w kolorze szarym. Osobiście ja tonię mi nie odpowiada. Coś musi dźwięczeć, błyszczeć, pachnieć. Te efekty poetyckie, które w końcu się dumają, dochodzą do czytającego poprzez rozumowanie, w drodze namysłu. Słowa nie mają ambicji zaskakiwać. Nie widzę tego zadzwienia emocjonalnego, które w sposób naturalny powinno spowodować wiersz. Jest przemyślany zapis. Wydrukować można, ale czy tylko o to chodzi?

R. Z. Hrubieszów. Znowu muszę Pana smarkować. Tyle już razy to robiłem, że w Panu na pewno pozostał oddech zniecierpliwienia: czy tej redakcji w końcu niczym nie można przekonać? Można. Ale Pan chce do poezji dojść jakąś drogą „samowola”, „systemem gospodarczym”, poza normalnym uczestnictwem w procesie kształtowania środków wyrazu. Powiedzmy otwarcie: Pan nie czyta współczesnych pism literackich. Zarzyskuje więc: nie przeczytał Pan w całości żadnego z poetów międzywojennego dwudziestolecia. Do poezji chce Pan dojść bez znajomości rzemiosła, bez wiedzy o tym „jak to się je”. Powie Pan, że to niekonieczne, bo w ten sposób zachowuje się własny wyraz. Otóż nie. Własny wyraz osiąga się poprzez znajomość tradycji i równoległej współczesności. Nawet to nie Filip z Konopli. To ktoś, kto pchnął „techniki” operowania słowem o jeden etap dalej. Malakowski najpierw był futurystą. Przybysz nie od razu był awangardowy, znany jest przypadek Czechowicza, który doszedł do swojej wyrazu po zetknięciu się z kubistyczną i nadrealistyczną poezją francuską. Nie ma zresztą potrzeby teoryzować. Chodzi o to, że pańskie słowo jest zanadto rudymenciarne, nie uformowane. Widac, że zawiera jakąś prawdę, dąży do jej wyrażenia, to nawet przekonuje. Ale mowa nie jest samym emulowanym głosem. To głos artykułowany. Dopóki nie zdobędzie się Pan na artykulację, nie ma co zaprzęcać sobie głowy. Niechże Pan popatrzy: jakże pański wiersz różni się od tego, co się dziś drukuje nowoczesnie. Czy nie to paru nie mówi?

R. S. Zdziechowiec. Naprawdę emocjonalne w tych wierszach jest duże, czytelnicy to odbierają. Nie można tego podrobić. Wiersz właśnie w swoich słabościach jest szerszy. Są momenty pobrzeżające dominującą nutę, choć ta nuta jest anachronizmem. Ale w końcu przychodzi mi na myśl, czy Ewa rzeczywiście na tyle westchnień zasługuje. Umówmy się tak: niech trochę czasu minie, jeśli miłoścy razem z tym, a Pan dalej będzie miał słowność do pisania wierszy, wtedy pogadamy. Na razie jest to typowy wybuch młodego chłopca, któremu nie wychodzi z dziewczyną.

M. C. Złoczek. Daleko za miły list. Cieszy mnie, że zdążyła się Pan z moją osobą. Ale jeśli mamy porozumieć o konkretnym materiale, to proszę bardzo o przesłanie wierszy, bo tych nie otrzymałem.

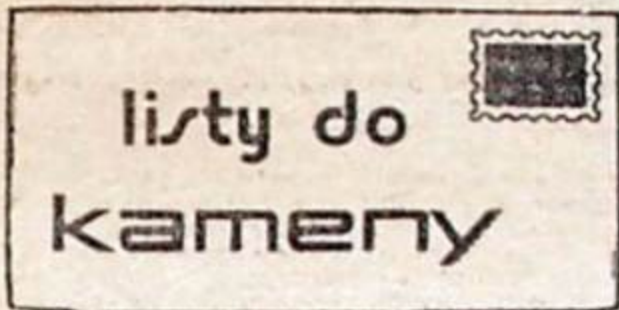
„Album fotograficzny”. Te wiersze odznaczają się przewagą publicystyki. To właśnie publicystyka. W dodatku chałtwezza, bo brak zwięzłości, choć usprawiedliwień swobodę skłarzeń właściwą poezji. Odbiera się ten tekst nie „czytano”. Proszę mi wybaczyć, w tym co napisalem nie ma dezaprobacji, ani chęci pouczyć. Jest świadectwo czytelnika, który z doświadczeniem zna wrażeń gusty czytelników innych.

J. N. Wielbark. Panu zależy na żartach. Ma się wrażenie, jakby Pan te wiersze pisał z czepką na bakier, z lekkim przewidywaniem, może jeszcze wypracuje doświadczenie w obieciu otaczającym sad proboscowa. Więcej jest tu niefrasobliwości niż poezji. Choć — przyznac trzeba — i na tej fałt przypływie jakiś zwrot literacki tylko jakże mało dopracowany, prawie niekceważony przez samego autora. Poetę to irwała dyspozycja, nie suma krótkotrwałych gestów.

R. W. Zamosć. Pewne wyczerpie poezji da się w tych tekstach odczytać, ale zbyt często ploro ludzi po linii małego eposu. To przypomowanie za dobra moment określenia wytarłach. Potrzeba więcej krytycyzmu, więcej roboty — nie bólimy się tego słowa — rzemieślniczej. Wiersz nie może powstać łatwo. „Latwo” zawsze prowadzi do banału. Aż banalno tu nie ma, ale też i nie widac wysiłku, by rzecz doprowadzić do maksymalnych konsekwencji artystycznych.

Z. T. Lublin. Owszem, dużo tego. Niestety, nie mogę dostrzeżać się powodu, dla którego zostało napisane. Zawsze można myśleć sobie jakieś zjawy, potrząsnąć cod o ptakach, dodać o odleżłej białonacie. Ale gdzie w tym wierszkiem autor? Gdzie jego osobiste wyznaczenie? Pańskie teksty przypominają mi piosenkę Niemena „Dziwny jest ten świat”: banal wyrażony w makro-terminach.

Z. U. Krasnostaw, M. S. Toruń, K. G. Bodeuszcz, J. A. Tarnobrzec, R. P. Białą Podlaska, S. J. Lublin, F. L. Stalowa Wola, G. C. Radom, P. J. Hrubieszów, S. J. F. Krasnostaw — nie skreślamy.



## WIĘCEJ INFORMACJI?

Jestem studentką UMCS. Z raeji moich zainteresowań i studiów na Wydziale Pedagogiki i Psychologii (kierunek kulturalno-oswiatowy) „Kamena” należy do czasopism, które czytają od kilku lat systematycznie. Czytam ją jednak z mieszanymi uczuciami. Owszem, czasopismo to zawiera wiele interesujących pozycji, m. in. artykuły poświęcone wielkim ludziom polskiej kultury, czy też artykuły o niecodziennych, ale prawdziwych ludzkich sytuacjach. A jednak czegoś brakuje w Waszym czasopiśmie.

„Kamena” jest jedynym lokalnym czasopiśmie o profilu kulturalnym na terenie Lubelszczyzny. Dlaczego więc brak w niej miejsca na chociażby pobieżną informację o tym, co dzieje się i co będzie się działo w kulturze lubelskiej? „Kamena” zawiera ciekawą rubrykę „Kultura 77”, obejmującą informacje z różnych dziedzin kultury, ale informacje te dotyczą całej Polski, a nawet świata. Dlaczego brak w „Kamencie” rubryki poświęconej informacji kulturalnej Lublina? „Kurier Lubelski” sporadycznie zamieszcza lakoniczne informacje na ten temat, ale to nie rozwija się sprawa. Lublin jest niedoinformowany pod względem kulturalnym. Plakatu i miejsca ich eksponacji są holczka chyba nie tylko Lublin, ale to niczego nie usprawiedliwia. Na nochwale za informację kulturalną zastępuje tylko kinematografia lubelska — fototy w estetycznych i raczej dobrze zlokalizowanych gablotach spełniają swoją rolę. A co z innymi dziedzinami kultury: teatrem, muzyką, malarstwem i rzeźbą? Tyle ciekawych wydarzeń i koncertów jest w Lublinie, ale tylko dla miłośników od lat widzą. Co się robi, żeby przyciągnąć i zainteresować kulturą ludzi którzy może by i przyszli na imprezę, ale nie wiedzą, gdzie i kiedy ona się odbywa? To sprawa niepokoi. Na w końcu: czy kultura jest dla ludzi, czy ludzie dla kultury? Bez informacji (dobrej) kultura może przybrać charakter elitarny...

Muszę się „Kamena” mocno upólną na poparcie informacji kulturalnej w Lublinie.

rezerwując dzień miejsce tam „gdzie wcześniej publikowano horoskop, a obecnie zamieszczą się komiks który sypczy i obniża wartość czasopiśma.

Może redakcja da się skusić do szerszej dyskusji na poruszone przez mnie tematy...

Joanna Zak  
Lublin

Od redakcji: Dziękujemy za list i pozdrawiamy siebie przypomnieć naszej stałej Czytelniczce, że „Kamena” jest dwutygodnikiem, a zatem z natury swojej nie może — byłoby to bezcelowe — zajmować się bieżącą informacją kulturalną. W tej sferze możemy tylko odnotowywać niektóre ważniejsze wydarzenia, które w chwili ukazania się pisma w kioskach należą już do przeszłości. I odnotowujemy je — właśnie w rubryce „Kultura 77”, pod nagłówkiem „Lubliniana”. Pisma o takim profilu, jak „Kamena”, lepiej przecież sprawdzają się jako miejsce publicznej refleksji (czy reporterskiej rekonstrukcji) nad wybranymi, odpowiednio dozniołymi problemami życia kulturalnego Lubelszczyzny i innych regionów kraju.

## MIŁOŚNICY KOZŁÓWKI

Okolice Lublina posiadają wiele cennych zabytków. Do nich należy zaliczyć niezapomniany pałac w Kozłowie. Wiele razy ukazywały się w prasie lubelskiej ciekawe informacje i artykuły dotyczące tego obiektu. Dawny pałac Zamoyjskich nie może jednak doczekać się właściwej oprawy, a także rozszerzenia ekspozycji muzealnej we wnętrzu pałacu. Remontu oczekuje przebiekła kaplica, w której znajduje się kopia nagrobka z S. Croce Zofii Zamoyjskiej. Marmurowe łamieszki kaplicy przyciąga liczne rzesze zwiedzających.

Muzeum przechodziło zmienne koleje, stając się w pewnym okresie składnią zabutkow. Obecnie jest udostępnione dla zwiedzających, a jego dyrekcja dokłada wiele wysiłków i starań, aby wnieść i indywidualni zwiedzający wojewódzkiej i lokalnej administracji piękny i wartościowy zbiór obrazów, a także niezauważona kolekcja kunsztownych ram. O Kozłowie można pisać dużo. W bieżącym sezonie turystycznym byłam w muzeum trzy razy, za każdym razem wynosząc nowe wrażenia. Kozłówek odwiedza również wielu cudzoziemców, a także przedstawiciele Polonii, przybyszalec w okresie wakacji w rodzinnym kraju. Władnie się, że należałoby powrócić „Kolo Miłośników Kozłówek”, która sformalizowała by organami ochrony zabytków oraz dyrekcją muzeum.

Na zebraniu Prezydium Zarządu Miejskiego Ligi Kobiet w Lublinie zostałam upoważniona do wystąpienia z tego rodzaju propozycja. Obecnie w ogólnych LK odbywa się kampania wyborcza do władz Kół Koleżanki z poszczególnych kół składają zobowiązania, aby w czynie społecznym w okresie wiosennym wydatnie przyczynić się do uporządkowania, pod kierunkiem specjalistów, parku koźlowskiiego. Władze nam się że jest to najłatwiejsza wara poparcia.

Zobowiązania i propozycje zostaną oficjalnie zgłoszone do właściwych władz.

Wiceprzewodnicząca ZM  
Ligi Kobiet  
Jadwiga Gorzel

## BUTELKI I ZAUFANIE

Sama nie mogłam więc posłałam 12-letniego synka do sklepu samoobsługowego przy ul. Pozostawistów, aby sprzedał tam opakowania szklane. Wiedziałam, że sklep ten jest zoblizowany do kupna takich opakowań. Niestety, personel nie chciał ich przyjąć od mojego syna, mimo że pościął on się, wskazując palcem, na odpowiednią informację, włączoną nad lada. Mała, banalna sprawa — może ktoś powtędzić. Ja jestem jednak innego zdania, albowiem takie właśnie, życiowe doświadczenia kształtują postać etyczna dziecka. Bo co ja mam mu powtędzić, jeśli spotyka się ono z łezkami przepiędów? Połącz powinien przuć o sześczonej godzinie — nie przechodził, w skłonie obowiązku podobno kolejką — zafani personelu obsługiwani są poza nią (późno „współpraca” sklepu mięsnego przy ul. Gracjanu z pobliskim zakładem „Grac”) i, hydroaulik oblicuje, że przyszedł naprawić uszkodzenie — nie przechodził, lekarz w przechodni wlewnie przyjmować od godnu drugiej — pojawiła się o trzeciej. A dziecko wie, że to, doświadcza tego na własnej skórze i traci zaufanie do świata dorosłych, przysiężkę respektować polecenia rodziców, nauczyli-li w szkole etc.

Maria Jodłowska  
Lublin

## SPROSTOWANIE

W nr-ze 21 „Kamery”, w artykule Marii Bachezy-Rudnickiej, zniekształcono fragment zdania, które powinno brzmieć: „I UKRYTA PASJA ETYCZNA”.

## Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bachezy-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasicki, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje: Oddziały RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 28 listopada na styczeń i kwartał i półroczny roku następnego i na cały rok następnego.  
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cała prenumerata pocztowa — 12 —  
Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.  
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-950 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4 Zam. 2649 J-4.

Numer lamal Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-33.  
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Befsztyk bez cebulki

KAWIARNIA „Violetta” w Chełmie oferuje gościom zaskakujące menu (złoty w cenie 1 złowcu) jeden złoty za szalankę. Bułeczkę wody mineralizowanej...

rzecz zrozumiała — mogą przy nawiązaniu do... W sklepach chemicznych jest jedyna do nabycia... Violetta... Kawiarnia „Czar” jest lokalem II kategorii...

wielu placówek mogą sami decydować o cenie... Kierownik X woli sprzedać dziesięć porcji schabowych z dodatkami... Krem suntuński, 100 g, 12 zł...

lody piętory, 100 g, 10 zł, lody owocowe... A już ukoronowaniem tej konsekwencji jest list do matki młodego chłopca... A już w konwencji chyba więcej niż realizmu... Ijon

minuta myślenia

Lot ku sensacji

PRÓCZ giełdy literackiej, obejmującej recenzentów i snobistyczną część czytelników... O PRÓCZ giełdy literackiej, obejmującej recenzentów i snobistyczną część czytelników...

towania, w lansowanie chwytliwych motywów... A więc w „Locie ku ziemi” mamy genialnego konstruktora maszyn analogowych... Must być jeszcze margines społeczny...

wartości artykuł może chodzić, ale tym razem nauzywał przeciw sobie — jeden artykuł ma być magnesem przyciągającym... Władna rzecz, że powieść jest zagęszczeniem obrazem rzeczywistości...

A już ukoronowaniem tej konsekwencji jest list do matki młodego chłopca... A już w konwencji chyba więcej niż realizmu magicznego...

Casanova Pamiętniki rys Krystyna Wojcik

